Nr. 15.
12 KWIETNIA 1936 R.
CENA 40 GROSZY.

WESOŁA TRÓJKA WITA WIOSNĘ....



Panie, o których mówi stolica...

HR. ZOFJA CHODKIEWICZÓWNA



Chłodny poranek wiosenny. Godzina 8 rano. Z ujeżdżalni przy ul. Koszykowej wyjeżdża na pięknym gniadoszu młoda amazonka. Czarna kurtka, biały krawat, spodnie, wysokie, lakierowane buty. Spod głęboko nasuniętego kapelusza wymykają się ciemne włosy i patrzą wesoło a bystro szare oczy.

Mieszkańcy tych okolic znają dobrze tę zgrabną amazonkę, której imię w okresie Międzynarodowych Zawodów Hippicznych jest na ustach całej Warszawy i zagranicznych gości.

Jest to bowiem hrabianka Zofja Chodkiewiczówna, nasza mistrzyni konnej jazdy, zdążająca na swym „Nieponiu" na codzienny trening w terenie.

Już niedługi czas dzieli nas od dorocznych Międzynarodowych Zawodów Hippicznych, które mają się odbyć w Warszawie w drugiej połowie maja. Czy nasza mistrzyni weźmie w nich udział i sięgnie i tym razem po nowe laury i zaszczyty?

— Pod tym względem mogę wszystkich, interesujących się sportem konnym, uspokoić — odpowiada hr. Chodkiewiczówna na moje pytanie na ten temat. Do zawodów stanę jak co roku. Ja, mój „Niepoń" i zawody hippiczne tworzymy przecież nierozerwalny tryumwirat!

— Czy pani przygotowuje się specjalnie do tych zawodów? — zapytuję w dalszym ciągu.

— Specjalnie nie. Trenuję bowiem jak rok długi. Codziennie odbywam przejażdżki dwu i trzygodzinne w terenie. Naturalnie z wyjątkiem zimy. Wtedy jeździ się tylko w krytej ujeżdżalni. W skokach i przeszkodach ćwiczę stale pod okiem trenera w Wyższej Szkole Wojennej. Na nagrodę trzeba trochę popracować — dorzuca panna Zofja z uśmiechem.

A jest tych nagród niemal cała setka, w tem 30 międzynarodowych. Całe mieszkanie udekorowane jest tymi trofeami.



Znana amazonka, hr. Zofja Chodkiewiczówna.

Na lewo: Hr. Chodkiewiczówna na przeszkodzie.

W hallu cała ściana zawieszona jest wstęgami, medalami, żetonami i dyplomami. Wszędzie poustawiane puhary zwycięskie, jest i „Syrena" w bronzie, nagroda prezydenta m. Warszawy i jeździec na koniu, biorący przeszkodę, nagroda Ziemiańska Rady naczelnej Organizacji Ziemiańskiej.



Na prawo: Wspaniały skok na ulubionym wierzchowcu „Nicponiu".

Ale najważniejsza nagroda, to duża polska, złota odznaka jeździecka jedynej kobiety, mogącej pochwalić się takim zaszczytem. Żeby zdobyć tę nagrodę, trzeba mieć cztery pierwsze nagrody na międzynarodowych konkursach hippicznych.

— Ale żeby posiąść tak wysoką klasę jazdy, trzeba chyba jeździć konno od dziecka? — wymyka mi się mimowolna uwaga.

— Niekoniecznie — odpowiada panna Zofja. Wprawdzie jako małe dziecko próbowałam już swoich zdolności w tym kierunku, jeżdżąc na kucykach w majątku naszym na wschodnich Kresach, skąd pochodzimy, ale niestety zawierucha wojenna zmusiła nas do opuszczenia rodzinnych stron. Dopiero od lat kilku, tj. od czasu zamieszkania w Warszawie, oddałam się niepodzielnie temu pięknemu i szlachetnemu sportowi. Tylko zamiast hasać po kresowych stepach, ujeżdżam te oto podmiejskie tereny!

Zofja Ordyńska.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 15 **Niedziela 12 kwietnia 1936** **Rok II**

ASY NUMERU 15-GO:



Serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT

składa Czytelnikom, Korespondentom i Przyjaciołom „Asa" REDAKCJA



Broszka — okopcony topaz z perełkami. Proj arch. Gartenberga.

KLEJNOTY
różnych epok i stylów



Lady Seymour z oryginalnem nakryciem głowy, ozdobionem klejnotami, wspaniałym naszyjnikiem i broszką. Obraz Holbeina.



Bransoleta z kryształu górskiego z brylantami. Proj. arch. Gartenberga.

Od prawieków człowiek dążył do zdobycia władzy, majątku i do odznaczenia się. Tym właśnie właściwościom zawdzięczamy wszelki postęp, sztukę i powolne ,ale stałe wznoszenie się na coraz to wyższe szczeble kultury materjalnej. Od wieków też to, co było rzadkie nabywało eo ipso znaczenia rzeczy pożądanej; tą rzadkością było złoto. Znacznie wcześniej, niż powstała pierwsza moneta, powstała pierwsza biżuterja, choć była ona wtedy oczywiście w stanie początkowego rozwoju. Od chwili zrobienia pierwszej ozdoby ze złota, panuje ono niepodzielnie jako środek upiększenia człowieka, choć w pewnych epokach dzieli swe panowanie ze srebrem, ostatnio z platyną, dobierając sobie oczywiście od wielu wieków drogie kamienie, nieraz skórę, tkaniny itd. Znalezione wykopaliska pochodzące z Abidos z lat mniej więcej 4700 — 4500 przed nar. Chrystusa, wskazują na starożytność sztuki złotniczej. Wiemy, że Egipcjanie pokrywali ściany pokoi złotem, że nosili broń bogato złoconą, naszyjniki, insygnia władzy królewskiej, że świątynia Salomona w Jerozolimie upiększana była przez złotników z Tyru, a w Troi, Mikene i innych greckich miastach znaleziono złote maski, wieńce. W tych czasach i później złotnictwo łączyło się ściśle z kultem religijnym, jak to widzimy np. w Indjach. Najwięcej stosunkowo znalezisk posiadamy z czasów wędrówki ludów, a najsławniejszymi złotnikami starożytności byli: Mentor, Mys, Boethos. Wielką kulturę w złotnictwie wykazuje starożytna Grecja i spadkobierczyni tej kultury — Bizancjum. Lecz również w średniowieczu i w czasach renesansu święci złotnictwo triumfy artystyczne. O ile średniowiecze, przeniknięte duchem religijnym, stworzyło wspaniałe jubilerskie sprzęty kościelne, o tyle renesans, nawskróś świecki, zadawalniał bardziej światowe upodobania. Jak dalece przepych rozwinął się w tym kierunku, dowodzą ustawy zakazujące używania drogocennych strojów i klejnotów, znane jako „leges sumptuariae" nakładające nieraz wysokie kary na opornych. Oczywiście, że Włochy i tu przodowały, taki Ghiberti, Verrochio, Foppa, a przedewszystkiem genjalny Benvenuto Cellini tworzą arcydzieła złotniczej sztuki. Również i Niemcy, Franja i w miarę warunków inne kraje posiadały swoje złotnictwo.





Powyżej od lewej: Cesarzowa Teodora bizantyńska w bogatym stroju koronacyjnym, według mozaiki znajdującej się w Rawennie. Broszka z białego złota, zdobna brylantami, perłami, z opaską emaljową. Proj. arch. Gartenberga.

Poniżej: Królowa Elżbieta Austrjaczka w bogatym stroju zdobnym klejnotami i rodzajem korony na głowie. Obsaz Clouet'a, zbiory Luwru.



Również i Polacy odznaczali się w przeszłości upodobaniem do złotych i kosztownych przedmiotów i biżuterji. Gdy przyjrzymy się życiu w dawnej Polsce, to przekonamy się, że panował wtedy pod tym względem niezrozumiały wprost przepych. W złote i drogiemi kamieniami sadzone klejnoty stroiły się nietylko kobiety, ale i mężczyźni wynajdywali odpowiedni pretekst, by się niemi obwieszać. Noszono więc liczne kosztowne guzy do delji, agrafy do czaplich piór na czapce, zwane szkofjami, pasy ze złotemi ogniwami, łańcuchy na szyję, zakończone zwykle medaljonem, przedstawiającym głowę królewską, a stanowiące odznakę godności rycerskiej. Wiemy, że np. ks. Janusz Radziwiłł, posiadał 12 par guzów z pereł, korali, itd. 100 guzów rubinowych, szmelcowanych z turkusami, brylantami i in. Inny magnat, Mikołaj Potocki, starosta kaniowski, wezwany przed trybunał, zjawił się tam, chcąc zadziwić otoczenie, w chłopskim kubraku, obszytym jednak dookoła rubinami w złocie, a po bokach koralami. Polki ówczesne znowuż nosiły kanaki, rodzaj korony, sznury drogich kamieni, małe agrafy przedstawiające orły, pelikany, feniksy itd. bramki, tj. ozdoby głowy sadzone perłami, ferety, któremi sama suknia była obszyta, i wiele jeszcze innych drobiazgów jubilerskich poza licznemi pierścieniami. Wespazjan Kochowski tak się wyraża żartobliwie o kobietach XVII wieku, że „...swoje folwarki wzięły z chłopy i gumy na barki". Niektórzy chcieli to zamiłowanie do drogich kamieni i złota, jakoteż do cennych materji wytłomaczyć wschodniemi wpływami, których, rzecz pewna, w dawnej Polsce nie brakło. Wystarczy jednak spojrzeć choćby na portret Henryka VIII króla angielskiego, malowany przez Holbeina, lub przeczytać opis życia Henryka Walezjusza, aby się przekonać, że nawet najbardziej „zachodni" monarchowie i możni hołdowali tej samej modzie i upodobaniom. Nie potrzeba dodawać



TAJEMNICZY UŚMIECH BOGINI

Przy kompozycji figur swoich bóstw Hindusi stosowali na szeroką skalę również sztukę złotniczą, zaopatrując je w liczne korony, bransolety i inne ozdoby. Na zdjęciu widzimy boginię hinduską Cur-Dur-Namdzit, patronkę długowieczności.





Powyżej: Królowa Henrietta Marja, małżonka Karola I. angielskiego, odznaczała się wielkiem upodobaniem do pereł.

Na lewo: Wspólczesnym gustom hołduje piękna gwiazda ekranu Rochelle Hudson, nosząc liczne bransoletki.

że również i broń, pancerze husarskie, szyszaki, a w wysokiej mierze i uprząż konia, nieraz suto wysadzane były drogiemi kamieniami, złocone lub nawet złote, jak również rękojeść szabli. Dużą ilość tych drogocennych rzeczy sprowadzali ze Wschodu do Polski kupcy lwowscy, podobnie zresztą jak cenne materje i inne wyroby Wschodu. Dominującą cechą tych wszystkich niemal biżuteryj i wyrobów złotniczych było podkreślanie ich wartości, z pominięciem nieraz cech artystycznych, tak, że niejeden klejnot mógł być nietylko przedmiotem sztuki, ale również dobrą lokatą kapitału w czasach, kiedy ludzie widywali finansowe kataklizmy, dewaluacje i inne, dziś nam dobrze znane ekonomiczne zjawiska.

Jeżeli chodzi o zamiłowanie w klejnotach i wystawność życia dawnych Polaków, to chyba jednym z najklasyczniejszych przykładów będzie gubienie złotych podków przez konie, które szły w pochodzie za wielkim posłem Polski, Jerzym Ossolińskim, wysłanym do Rzymu. Trzeba było swoistego światopoglądu, aby wpaść na ten oryginalny pomysł. Również z listów króla Jana III, pisanych z pola bitwy pod Wiedniem do królowej Marysieńki, możemy wywnioskować, jak bardzo przodkowie nasi interesowali się klejnotami i jak bardzo się na nich znali, gdyż król szczegółowo opisuje łupy zabrane wielkiemu Wezyrowi. Wiemy również, że nawet w czasach największych klęsk narodowych, dawni Polacy występowali przy uroczystych okazjach tak bogato, z tyloma klejnotami, że ludzie z zagranicy odczuwali szczery podziw dla tych niezmierzonych skarbów. Słynny w naszych dziejach ze swej smutnej roli Janusz Radziwiłł, nosił na sobie, według słów ówczesnych pamiętnikarzy, klejnotów za kilkaset tysięcy złotych. Nic też dziwnego, że ta zewnętrzna wystawność, ten olbrzymi przepych dezorjentował odnośnie potęgi politycznej Polski, nietylko samych aktorów, występujących na scenie naszej historji, ale również zagranicę.— Większość złotników, tworzących te cacka jubilerskie, rekrutowała się z Włochów lub Niemców, chociaż mieliśmy również i złotników Polaków. Niestety zabytki dawnej chwały powędrowały nieraz do obcych muzeów, a u nas rzadko kiedy można się z niemi spotkać i w zbiorach prywatnych.

Na biżuterję, jak na wszystko, przychodziła moda lub od niej się odwracała. Już koniec XVIII. wieku nie wykazywał tego entuzjazmu wobec biżuterji, co dawniej. Jeszcze bardziej straciła ona na znaczeniu w czasach biedermeieru i dopiero drugie cesarstwo we Francji znów prowadziło modę biżuterji. Czasy przedwojenne obfitowały w ciekawe nieraz pomysły artystów w dziedzinie biżuterji, naogół jednak biorąc charakter ich odbiega od tego, co stworzono w tej dziedzinie po wojnie. Jeżeli do czasów przedwojennych kładziono nacisk na piękne kamienie, upośledzając nieraz samą oprawę i koncepcję artystyczną biżuterji, (zaznaczyć tu wypada, że tak zwana „secesja", utrzymująca się przez kilka lat w pocz. XX. w. podkreślała w biżuterji linję na niekorzyść samego materjału), to obecnie kładzie się nacisk przedewszystkiem na odpowiednią kompozycję, oryginalność i wartość artystyczną, używając do biżuterji nieraz kamieni półszlachetnych, lub ograniczając użycie szlachetnych do minimum. O ile dawniej biżuterja była dodatkiem do sukni, o tyle teraz stanowi jej uzupełnienie i powinna z nią harmonizować, dlatego też używa się różnych biżuteryj, zależnie od pory dnia i toalety. Bardzo chętnie posługują się obecnie artyści-złotnicy ametystami, zakopconemi topazami, kryształem górskim, bursztynem, perłą, polerowanemi metalami, a brylatny w dalszym ciągu zatrzymały swoje uprzywilejowane stanowisko. Bardzo modne są obecnie liczne bransoletki, przedstawiające nieraz wartość jedynie artystyczną, nie zaś finansową. Jak wszystko inne, tak i złotnictwo wyspecjalizowało się; mamy dzisiaj artystów którzy projektują biżuterję, oddając ją następnie do wykonania złotnikowi. Oczywiście, że w tej dziedzinie przoduje Paryż, a m. in. znany dom jubilerski Herz, ale również inne kraje posiadają swoje oryginalne kocepcje złotnicze. Załączone zdjęcia nowoczesnej biżuterji, projektowane przez Polaka, arch. W. Gartenberga, posiadają pełny wyraz współczesności, odznaczając się piękną linją, wielką oryginalnością, a pozatem posiadają zaletę, iż nie są zbyt kosztowne. Naogół biorąc, skala możliwości dla dzisiejszego jubilera jest większa, jak dawniej: używa on również kamieni, które dawniej występowały tylko sporadycznie — malachit, chryzopras i in. Obserwując zmiany, jakie zaszły w sztuce złotniczej ostatnich wieków musimy stwierdzić, że zasadniczy charakter biżuterji dostosował się do ducha czasu, stał się prostszy, bardziej indywidualny, gustowniejszy, mniej ciężki i bardziej „demokratyczny". Nawet złoto i drogie kamienia, rzeczy zdawałoby się bezduszne, ożywiły się prądami, panującemi w współczesnym świecie.

Jan Maleszewski.







Od góry ku dołowi: Wisior z bursztynu gdyńskiego, misternie rzeźbiony, z perełkami, topazami, ametystami. Proj. arch. Gartenberga. — Bransoletka z kopconego kryształu górskiego z małemi szmaragdami. Proj. Herza, Paryż. — Bransoletka cyzelowana w złocie dukatowem z znakami Zodjaku. Proj. arch. Gartenberga.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Od lewej: Znaczek belgijski, w pośrodku znaczek Stanów Zjednoczonych, znaczek niemieckiej poczty powietrznej.

Poczta niemiecka zarzuciła dawny typ znaczków zeppelinowych i wypuściła 2 nowe wartości za 50 f. i 75 f. (kolory ciemno niebieski i ciemno zielony). Dawne „Zeppeliny“ były drukowane rotograwurą i miały barwy wrażliwe na benzynę i wodę — obecnie są to staloryty, a i znak wodny można bez obawy wywołać. „Waben“ zmieniono na „Hakenkreuz“.

Żaden kraj nie ma chyba takiej rozmaitości w znaczkach, co Stany Zjednoczone, które wydają marki pod względem artystycznym doprawdy wspaniałe! Naturalnie, że w przeciągu 90 lat wydrukowano szereg nie nadzwyczajnych serji, ale obecnie w znaczkach lotniczych mają sztycharze amerykańscy pełne pole do popisu. Pośpieszno-lotnicza wartość za 16 c. jest niecodziennie spotykana i dlatego reprodukujemy ją obecnie — pierwotnie jednokolorowa, niebieska, teraz jest dwubarwna, czerwono-niebieska.

Belgja znowu zmieniła niższe wartości normalnych znaczków. Tak litograficzne wykonanie jak i rysunek nie wynoszą ich ponad przeciętność. Serja obejmuje wartości: 5, 10, 15, 20, 25, 30, 35, 50 cent.

BALLETS POLONAIS NA USTACH EUROPY



Powyżej: Afisz baletu Parnella i Zizi Halamy, zapowiadający ich występy w Paryżu.

Trzeba często bywać po tamtej stronie kurtyny tego specjalnego teatru, by wżyć się w jego rytm, sekrety, piękno, troski i brudy... „Balet polski" Parnella przez trzy miesiące (raz, często dwa razy dziennie) występował w tej rewji, którą nazwano „Parade du monde". Trzy miesiące! Blisko sto dwadzieścia występów trupy polskiej na scenie Paryża jednym ciągiem!... To nie byle co: to największa katorga! Lecz artyści nie skarżą się...

Pisałem już o kulisach teatrów i music-hallów paryskich, poniżej nie będę się więc powtarzał. Intruz w pierwszej chwili czuje dziwne oszołomienie. Każdy centymetr kwadratowy ma tu swe przeznaczenie. Raz robotnicy biegną z prawej strony, raz z lewej, dźwigając różne części składowe scen i dekoracyj. Pomyślcie: około czterdziestu obrazów w ciągu jednego wieczoru! czterdzieści zmian dekoracyj!... Wszystko w tempie niesłychanem. Ciągła defilada artystów i artystek w strojach najróżniejszych, niekiedy eterycznych...

I ponad wszystkiem góruje oko kierownika, Feliksa Parnella, kierującego wielką ilością obrazów. Siedzimy właśnie w jego ubieralni. Zizi Halama obok. Reszta trupy polskiej usadowiła się nieco dalej: Leitzkówna, Kolpikówna, Kleszczówna, Fabisiak, Szmarówna, Szajewski, Konarski, Papliński, Piotrowski, Kostenkowski. Wizyty jedna za drugą — propozycje, prośby... Parnell studjuje jednocześnie jakiś nowy balet... Z korytarza co chwil kilka dolatuje echo „galopujących" girlsów, czy statystów... Nasi artyści odczuwają, mimo zadowolenia z sukcesów, ciężar swego zadania. Często muszą spieszyć o północy na jakiś dodatkowy występ, raz na jakiś elegancki bal, raz dla celów dobroczynnych w szpitalu dla obłąkanych, to znowu dla żołnierzy, na balu prasy, w Domu Polskim...

Nie brak tu jednak humoru. Przez humor jednak przebija niekiedy zawiść... Inni tancmistrze, zepchnięci na szary koniec przez sukces baletów polskich, mówią:

— Toć to nie „Parade du monde", ale „Parade de Parnell".

Bo Parnell istotnie inscenizował nietylko numery polskie i główny numer programu — występ sportowy mistrza świata Ladoumergue'a, — ale również numery hiszpański, włoski, holenderski, węgierski, wiedeński...

Parnell i członkowie jego trupy kiepsko mówią po francusku... Zapanowała za kulisami największego music-hallu Paryża moda uczenia się po polsku... Słyszy się wyrazy polskie, wymawiane śmiesznie przez małe Angielki, wielką Hiszpankę, i przemiłą Kreolkę, Miss Bartira. Inne uczą się polskich piosenek. Wszyscy mają... polskie przezwiska i są z nich bardzo dumni. Lecz żalą się, że nie umieją ich wymawiać... Nic zresztą dziwnego, bo nasi tancerze dobierali im imiona takie, jak: Rwęcki, Szycki, Rtęcki, Bukszpański, Szczawnicki!

Lecz Parnell niecierpliwi się: boi się przegapienia tego czy innego numeru. Znika, pojawia się, znów znika. Gorąco! Duszno! I to tempo, tempo!

W tych warunkach niema wypoczynku. Oto teatr „Sarah Bernard" prosi o odtańczenie Mazurka Chopina. Oto Londyn zaprasza na sezon „Baletów polskich" tak, jak był sezon baletów rosyjskich. Dzięki Parnellowi Polska zajęła pierwsze miejsce w Europie w zakresie choreografji.

Poniżej: Finał rewji w „Casino de Paris" z udziałem polskiego baletu — na prawo widoczna Zizi Halama (x), za nią Parnell.



Poniżej na lewo: Ćwiczenia trupy Parnella na świeżem powietrzu (na podstumencie Zizi Halama).



Już nie mówi się o baletach i tancerzach angielskich, czy rosyjskich; probierzem są — tancerze polscy. Nie bez powodu entuzjazmował się Berlin. Nie bez powodu holenderskie Ministerstwo Wojny wypożyczyło samolot, by przywieźć pospiesznie bagaże z Brukseli (z pozwoleniem rządu belgijskiego), gdyż na 10 godzin przed przedstawieniem zauważono brak kufrów, zawierających 250 kostjumów... Przedstawienie rozpoczęło się zaledwie z piętnastominutowem opóźnieniem...

„Ballets Parnell" nie schodziły długo z afisza. Miesiące płynęły, podkreślając sukces polski, w piekielnem tempie pracy...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

WIELKANOC NAD LEMANEM

SZKIC

HANNA KŁOSIŃSKA. Ilustr. A. ŻMUDA.

Pięknie to było ze strony Eglantyny, że pomyślała o fiołkach, baranku z ciasta i pisankach. Gdy się obudził, oczy jego padły na stolik pod oknem, nakryty cieniuchnym haftowanym obrusem, na którym wśród barwinku i fiołków leżało to „souvenir" z Ojczyzny.

Eglantyna była bardzo miła, bardzo, jeśli nie była widoczna, jeśli krzątała się po domu w siódmym pokoju za siedmioma zamkniętemi drzwiami.

Ubierał się szybko i starannie. Spodnie koloru słomy, kaszmirowa kamizelka w różowe kwiaty, śliczny, romantyczny krawat z szafirowego miękkiego jedwabiu i surdut w kolorze piasku. Stał przed lustrem i uśmiechał się do swojej giętkiej, młodzieńczej sylwetki delikatnej twarzy, czarnych loków i smutnych, prześlicznych oczu. Tak, to prawda, był podobny do młodego Byrona. Był z siebie zupełnie zadowolony. Tak powinien wyglądać poeta i dandys doskonały.

Podszedł do stolika i wyjął z wody kilka fiołków. Włożył je do butonierki i zauważył, że pięknie wyglądają przy suknie koloru piasku. Dodawały mu uroku.

Wzrok jego padł na scyzoryk w srebrnej pochwie, który leżał między kraszankami. Lubił takie małe cacka. Scyzoryk był pięknie rzeźbiony i wykładany kością słoniową. Pan Juljusz wiedział, czyj to dar. I mimo to uśmiechnął się ze szczęścia.

Kiedy Eglantyna przyniosła mu kawę, pochwycił ją w ramiona i tańczył z nią po pokoju. Myślał jednak o tem, jak pięknie wyglądali razem: on smukły i czarnowłosy, ona miękka blondynka, o jasnej buzi i słodkich szarych oczach.

— Dziękuję ci Eglantyno za fiołki i scyzoryk.

— Ach, monsieur Loully, chciałam, by pan dziś czuł się, jak w domu.

— W twoim domu zawsze się czuję, jak u siebie. I dziękuję ci, żeś sama przyniosła mi kawę.

— Nie chciałam, by to zrobiła Ivetta.

— Czyż nigdy nie zapomnisz tej gałązki pachnącego groszku, który rzuciłem Ivecie, bo tak mi się zachciało. Rozumiesz Eglantyno — kaprys — nic więcej. Pomyśl, jedna gałązka groszku. Zwiędła przed rokiem. Czyż nawet w Wielkanoc nie przebaczysz mi moich pachnących grzechów.

— Nie mogę tolerować flirtu z pokojówkami.

— Ty wogóle nie masz pojęcia, czem jest zabawa w miłość. Kwiaty, księżyc, dziewczyna, jak...

— Eliza Morin.

— Eliza? A czegoż ty chcesz od Elizy? Co mi masz do zarzucenia?

— To samo, monsieur Loully — pachnące grzechy. Kiedy wyjechałam do Paryża, posyłałeś jej kwiaty.

Zakryła oczy rzęsami, a rumieniec oblał jej twarz. Wyglądała pomimo swoich trzydziestu lat na młodą dziewczynę i była taka ładna, że poprostu żałował, że nie mógł jej kochać.

— Monsieur Loully, proszę mnie tak nie martwić, Eliza jest moją najlepszą przyjaciółką, a pan...

— Wiem, kim jestem dla ciebie, Eglantyno, ale to nie moja wina. Nie moja. Zdobyłaś sobie w mojem sercu przywileje siostry i dzięki tym przywilejom pokochałaś mnie, jak kobieta. To smutny dla mnie zawód, Eglantyno. Chciałem mieć w tobie siostrę. W tobie jednej. Elizy nie kocham. A wszystko, co mnie z nią łączyło, to był jej kapelusz z czarną koronką. „Kiedy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży rozkwitłej na oknie gotyckiem".

— Cóżem ja za to winien, że glina, z której mnie Pan Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiąże do mnie serca panien?

Podszedł do okna. Tuż blisko leżało jezioro Leman, ciche i głębokie, podobne do świętej wody Genezarethu, po którego falach Chrystus chodził. Niebo powiewało nad światem, jak ogromna chorągiew albo ogon legendarnego niebieskiego pawia.

Z ogrodu bił zapach wczesnej wiosny, ziół, kwiatów i powietrza. W słońcu stały Alpy, jak hufiec rycerzy ze średniowiecznej sagi. Białe i srebrne miecze szczytów wydobyte z pochwy mgły lśniły w słońcu. I wielki, słodki spokój szedł od gór, nieba i wody.

Juljusz pochylił głowę. Eglantyny nie chciał pytać, czy o n a już wstała. A tak bardzo chciał wiedzieć. Serce biło mu lekko i szybko. I to również chciał wiedzieć, czy rezeda, którą dla niej posiał, wzeszła. Jednak nie mógł o to pytać panny Patteg. Nie, to byłoby okrutne. Unikał jej wzroku. Sercem był tak daleko, o całe piętro wyżej, gdzie pod strażą wysokich, rozkwitających kasztanów i nieba, spała mała, najmilsza dziewczyna.

— Wcześnie pan dziś wstał, monsieur Loully.

— Chciałem napisać list do matki.

Eglantyna wychodziła już z pokoju.

— Jak udały się wielkanocne baby pani Wodzińskiej?

— Czy tylko baby interesują pana?

— Naturalnie, przecież piekły się według krzemienieckiej recepty, chciałbym napisać matce, czy jej przepis nie zawiódł.

— Odkąd to poeci zajmują się pieczeniem placków?

— Och, u nas, w Polsce, zajmują się tem przedewszystkiem poeci. W okresie Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia wszystkie nasze kobiety stają się poetkami.

— Wczorajsze mazurki i baby przypominają dziadowskie improwizacje na odpuście. Zakalec!

Stała w drzwiach trochę gniewna, trochę smutna, a napewno nieszczęśliwa. Nie miał jednak zamiaru jej pocieszać. Był zdruzgotany zakalcem. I czuł urazę do matki, do pani Salomei za tę receptę. Zły to był znak dla jego miłości.

A Eglantyna powiedziała cicho, z tragicznym spokojem:

— Rezeda również nie wzeszła.

Czy ta dziewczyna nie miała litości?

— A pannę Marję boli głowa. Nie zobaczysz jej przedpołudniem.

Ostatecznie jest tylko pewna doza smutku, którą mogą znieść poeci. Nie urodził się znowu na zawodowego cierpiętnika, jakby to można wnioskować z jego wierszy. Był rozpieszczonym chłopcem, benjaminkiem narodowym w przyszłości, a ulubieńcem matki.

— Nie pytałem się o pannę Marję, Eglantyno.

Łzy ukazały się w jej oczach, ogromne łzy, które nazywają się „świeczkami". I trochę za długo świeciły, nim spłynęły po twarzy, aż na biały batyst sukienki, gdzie wśród koronkowego żabotu dokonały swego przeznaczenia.

— Przywykłem już Eglantyno, że mi łzy w powszednim podajesz chlebie, ale nie daj mi ich w wielkanocnej szynce, proszę cię moja miła, słodka, dobra!

Objął ją ramieniem, a Eglantyna płakała, płakała, jak wodospad.

— Och monsieur Loully, kocham cię tak bardzo, że gdybyś umarł, jabym twoje serce w urnie srebrnej do kraju piechotą zaniosła.

— Narazie jednak pozwól mi żyć Eglantyno. Ludzie tak dziwnie stworzeni są od Boga, że zawsze przywiązują się do słowa „ja", oprócz kobiet, które przywiązują się do słowa „mój". Ale ja nigdy nie byłem twoim. Powinnaś o tem pamiętać. Nie utrudniaj mi mojego szczęścia. Kocham po raz pierwszy w życiu.

— Ja także, monsieur Loully.

— Wobec tego powinniśmy współczuć sobie, Eglantyno.

Kiedy panna Patteg odeszła, Juljusz Słowacki zapomniał o niej w ciągu kwadransa. W pensjonacie pani Patteg zaczynał się już ranny ruch. Słyszał kroki na schodach i okrzyki w ogrodzie. Może któryś z tych świeżych wysokich głosów należał do niej do Marji. — Zakalec, rezeda... Ale czyż on tę rezdę podlewał? Uważał to za zbyt prozaiczne zajęcie dla wielkiego człowieka. Zawsze czytał i pisał, że zakochani zrywają kwiaty, ale nigdy, że je podlewają. A co do tych bab, to także skończyło się na poezji. Oboje z Marją mięsili ciasto, tylko dotąd dokąd mogli wzdychać w pokoju, kiedy jednak nadeszła kolej sceny balkonowej, którą musi przeżyć każdy Romeo z każdą Julją, no to wyszli i ciasto się zanadto wyruszało. Wielkie nieszczęście! Wprost przeciwnie. Całował warkocze Marji w takiej chwili, kiedy to „wszystkie się słowiki uciszą i wszystkie liście bez szelestu wiszą". Oboje lubili takie chwile. A warkocze Marji były ciężkie, wonne, pachnące. Panna Marja oparła na jego ramieniu główkę. „Wydała mu się sercem bijąca, brylantowa w oczach". Tylko dlaczego ona się śmiała? Ach tak, mówił jej takie

słodkie nonsensy, „że dla niej chodzi po wodach i niebie lata".

Umawiali się na wycieczkę w Alpy. Miał ją zabrać z sobą, jak zeszłego roku na Monte Rosa i na górę Gemmi, do wodospadów, które rozplatają swoje warkocze w blasku tęcz.

Po warkoczach z bajki i ruchomych tęczach miała iść Marja śliczną drogą z Interlaken do Lauterbrunnu, nad rzekami pełnemi lodu, spływającego z gór. Kra płynęła między żywemi kwiatami, pod ślubnemi welonami kaskad.

Tylko dlaczego ona się śmiała? Przyrzekał jej nieśmiertelność w najpiękniejszej formie. W jego marzeniach chodziła, gdyby „zaklęta królowa" w księżyca blasku biała, lub wieczorem do Alp na śniegu różowych różowa".

I myślał „całe długie pół godziny, dlaczego ona nie była niebieskim aniołem". To też kiedy wrócili po godzinie do mieszkania, los bab wilekanocnych był postanowiony, ich również. Zakalec był okupiony najpiękniejszą miłosną sceną, jakby z poematów Musseta.

I jaką Marja miała suknię w tej „historycznej" chwili? Nie pamięta. Zawsze zapomina koloru jej sukien. To nie to samo, co z Elizą Morin. Nie obchodzą go zupełnie kapelusze Marji.

A gdy mu jej nie dali za żonę? Zarabiał tylko na swoją sławę, na życie nie umiał zarabiać. Był początkującym poetą, synem swojej matki, a panna Marja Wodzińska była jaśnie panienką. W sercu swojem był niespokojny, chociaż przyrzekła mu, że „po powrocie do kraju ubierze czarną żałobną sukienkę i czekać będzie ze spowiedzią na pewnego tajemniczego mnicha, który dziś mnichem nie jest". — Tak, tak, otrzymała staranne, romantyczne wychowanie, a także przyrzeczenia należały do dobrego tonu.

To był piękny temat do poematu, tak się to egzaltowanie pisało w owej uroczej, szalonej, sentymentalnej epoce duchów i kochanków. Ale mój Boże, przecież tak się nie żyło. Życie było, jak zawsze, pogodne, płynęło szybkim nurtem wśród kwiatów i kołysało się na wietrze. Życie było, jak miłość wezbrana przypływem marzeń, niby wody na wiosnę.

A on chciał żyć. Chciał mieć tę dziewczynę miłą i własną, kochaną i chętną, oddaną i wierną, aby mu „król pozazdrościł żony i dziecka i lipy i miodu".

Szczęście było tak wielkie, że musiał je komuś powierzyć.

„Pamiętasz mamo, te węże, które widzieliśmy na moczarach pińskich, obwijających się koło lilij wodnych i grzejące się w słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja! Lilja wodna niech się tobie zamieni w jaką cichą, miłą i spokojną dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie".



Stała przy fortepianie w swojej białej sukni z rozciętemi rękawami, które spływały prawie do bioder.

Okazało się jednak, że ktoś inny tych żądań nie rozumiał. Święcone bez bab było tragiczne. Jujusz naraził dobrą sławę swojej matki. Pani Wodzińska nie taiła swej urazy z powodu krzemienieckiej recepty. Sceny z Musseta powtórzyły się, ale był to niestety dalszy ciąg dramatu.

Juljusz, Marja i Eglantyna siedzieli obok siebie ze spuszczonemi oczyma. Pan Słowacki zjadł masę szynki, chrzanu i jaj, ostatecznie i najbardziej romantyczny poeta musi się pokrzepić przed rozstaniem.

— Skończyłem dziś drugi akt „Balladyny". Jutro przeczytam pani ostatnią scenę.

Marysia spojrzała trochę zukosa przez rzęsy swemi palącemi, czarnemi oczyma. Wyglądał pięknie w swoim garniturze z tą swoją chmurną, czarną urodą, oprawną w sukno perłowe. Tak! Marysia westchnęła.

— Proszę się pospieszyć z tą tragedją. Z początkiem lata wyjeżdżamy z Genewy.

Nie była smutna, raczej cicha i spokojna. Uśmiechała się z zakłopotaniem, Nie było jej zamiarem bałamucić tego uroczego chłopca, robiła to tylko z przyzwyczajenia. Miała nadzieję, że nie okaże się Wertherem, chociaż w młodości przyjaźnił się z człowiekiem, który popełnił samobójstwo z miłości. O nim samym zaś różne chodziły opowieści. Był człowiekiem tragicznym, mimo płochych pozorów, kimś w rodzaju młodzieńczego Fausta. Miał dziewiętnaście lat, kiedy zawarł pakt z djabłem, wzamian za sławę.

Ale właściwie, to nie bała się nigdy tego smukłego, melancholijnego chłopca. Może go nawet kochała, wtedy — w Alpach. I gdyby dziś rano matka nie odzierała go tak z uroku, z powodu zakalca. Recepta pani Becu wcale nie przyczyniła się do ich szczęścia. Matkom takie rzeczy wyastarczają, by znienawidzić adoratora córki. No tak, otworzył drzwi, bo powietrze było za gęste od jego westchnień. I zachłodził ciasto!

Ale panna Marja nie o tem chce z nim mówić. Nie, i o liście z Paryża, który przyprawił ją o bicie serca i zawrót głowy. Doprawdy, nie spodziewała się tego. Listu i bicia serca...

Pan Juljusz pochylił się ku niej miękkim, delikatnym ruchem, ruchem doskonałego dandysa i powiedział spokojnie, nie tak, jak poeta, ale tak, jak mężczyzna:

— Proszę, niech mi pani nic nie mówi, niech mi pani to zagra.

Panna Marja podeszła do fortepianu. Odwrócił się i patrzył za nią. Stała przy fortepianie w swojej białej sukni z rozciętemi rękawami, które spływały prawie do bioder. Świeciła w zmierzchu smukła i jasna w koronie czarnych warkoczy, a on chłonął ją oczyma. Zabierał ją sobie w tej chwili na swoją własność, aż do śmierci. Wiedział, że nie zapomni jej nigdy. Gdyby była Teresą Podlodowską, a on Janem Kochanowskim, gdyby żyli w jakiejś spokojniejszej, mniej duchami zaludnionej epoce, kiedy więcej było miejsca dla żywych ludzi, kiedy życie było łatwiejsze i prostsze...

Gdy grać zaczęła, poznał odrazu ten szum cyprysów włoskich pod polskiem niebem, zapach maków, wiatr z północy i piosenkę koników polnych, tak, nie mylił się. Jeden był tylko człowiek, który tak tęsknił — Chopin. W zawiłej i bajecznej frazie muzycznej wyznała mu nazwisko rywala i cel podróży.

Eglantyna słuchała z nim razem i zapewne rozumiała także...

Ich troje, złączonych na wieczność węzłami serca, czuło się mimo to bardzo samotnie w ten jasny i ciepły wieczór Wielkiej Soboty. A na jeziorze Leman, jak kiedyś na Genezareth, chodził Chrystus w promieniach księżyca i patrzył na tego chłopca o świeżem sercu, którego sobie upodobał i którego chciał mieć smutnym, smutnym aż do śmierci....

——o——

SZTUKA KATOLICKA NA CZARNYM LĄDZIE



Św. Józef z Dzieciątkiem Jezus.



Zdjęcie z krzyża. (Dahomej).

Nie tak dawno jeszcze temu, bo około 1870 r. król Dahomeju w zachodniej Afryce składał po 500 ludzi corocznie w krwawej ofierze — obojętne zresztą, czy z wrodzonego okrucieństwa, czy z posłuszeństwa nakazom magji deszczowej, czy z bojaźni przed nieznanym mu bogiem. Króla, władającego krajem Dahomej, zdobiły łańcuchy z zębów ludzkich, — wszakże czaszki i szczęki ludzkie były najulubieńszym materjałem używanym do dekoracji mieszkań i stroju, a jednocześnie niezastąpionym środkiem czarodziejskim u wszystkich negrów. Także skóra, włosy i kości. W Dahomeju i Waida wyrywanie serca z piersi nieprzyjaciela i spożywanie go należało do publicznych uroczystości.

W takiem to środowisku zatknęli Krzyż misjonarze, roznosząc z nową wiarą ziarna europejskiej cywilizacji. Wtedy to sztuka negrów zaczęła przystosowywać się do nowych potrzeb kultu. Tak powstały rzeźby o tematach chrześcijańskich, wykonywane przez fetyszystów, nawróconych na nową wiarę. Zabytki niezmiernie interesujące! Bóg chrześcijański rzeźbiony ręką dzikiego człowieka! Synowie fetyszystów, tkwiąc jeszcze w odwiecznych tradycjach typu rzeźbiarskiej formy, wyrażają nowe idee w sposób dawny. Sztuka chrześcijańska w Dahomeju staje się pod względem formy dalszym ciągiem sztuki feteszystycznej.

Przypatrzmy się drewnianej rzeźbie, wyobrażającej Matkę Boską. Ciężki welon, zdobny u brzegu w skórzane aplikacje, jest symbolem czystości, na w y p u k ł e j piersi krzyż chrześcijański, ale w twarzy ani śladu dobrotliwości Opiekunki ludzi. Wyraża ona raczej zwierzęcość — równą rytualnym maskom, które dużemi, groźnemi oczyma patrzyły zimno na krwawe obrzędy. Nieduża ta statuetka, wciśnięta w welon, jak ziarno w łupinę i spoczywająca na przysadzistych, potężnie grubych nogach, przypomina raczej żeńskie fetysze, podpierające ozdobiony czaszkami tron krwawego Behansina, niż Królowę Niebios.

Podobny charakter posiadają stacje Męki Pańskiej, odlane w bronzie: Przybicie do krzyża, Opłakiwanie, Zdjęcie z krzyża itd., oraz przystosowany do afrykańskich pojęć posążek Madonny, odpędzającej muchy od Dzieciątka.

Zapewne, że są to rzeczy dalekie od ducha tych form ikonograficznych, z jakiemi zżyliśmy się w Europie — Van Dycka, Rubensa, Murilla i innych a nieraz zabawne prymitywizmem formy, tak bliskie sztuce dziecka — niemniej jako szczery wyraz nowych idej, stanowią one dla nas dokument o wartości nietylko artystycznej, ale i naukowej. Może kiedyś pod wpływem narzucania negrom europejskich dewocjonali zerwie się łączność tej sztuki z tradycją i rasowością w odczuwaniu mitów.

Dziś jeszcze możemy się wzruszać dziecięco naiwną wyobraźnią czarnego artysty, który rzeźbiąc Jonasza i wieloryba, nadaje nieznanemu sobie potworowi morskiemu rogi nosorożca, paszczę szakala i inne cechy krwiożerczości, a rzeźbiąc postać św. Józefa

z Dzieciątkiem, nadaje małemu Jezusowi twarz murzyniątka, przyczem Świętego odziewa w płaszcz ze skóry pantery. Takie skóry centkowane zarzucają na ramiona wojownicy z Kanioku, którzy dreszczem trwogi przejmują sąsiednie plemiona. Niepostrzeżeni przez nikogo, cicho jak pantery, podkradają się nocą do siedlisk ludzkich, zabijają wrogów, a na szyjach pomordowanych pozostawiają ślady pazurów pantery.



Na lewo: Najświętsza Panna Marja. (Dahomej).

Ich to centkowany płaszcz, symbol potęgi, dostał się św. Józefowi, aby świadczył o nadzwyczajnych przymiotach człowieka, który wychowywał czarnego Chrystusa.

Tego rodzaju rzeźby negrów z Dahomeju uzupełniają w tym samym duchu wykonane inne jeszcze tematy europejskiego pochodzenia, np. Joanna d'Arc, trzymająca w lewej ręce miecz, a w prawej sztandar, leżący męczennik, na którego zwłoki składa Anioł palmę i wieniec i t. p. Rzeźbiarstwo i odlewnictwo w bronzie bez porównania wyżej, niż w Dahomeju stoi w innych ośrodkach zachodniej Afryki: w Joruba, Ife, a szczególnie w Benin, gdzie w XVIII w. w czasach europejskiej wojny 30-letniej powstawały monumentalne dzieła sztuki. Stąd wywodzą się pięknie rytowane czasze kształtu głowy antylopy, hieratyczne zwierzęta z kości słoniowej, centkowane bronzowemi gwoździmi, odlewami z bronzu władcy o przysadzistych nogach, ludzie nadzy od stóp do głów, tatuowani w geometryczne wzory itp. Król Beninu mieszkał w pałacu, u którego wejścia wisiały na słupach ucięte głowy Europejczyków, na progu czatowały dwa oswojone lamparty, a wąż pełzał w zygzakach po dachu. Tak nam przedstawia pałac królewski bronzowa plakieta w berlińskiem „Museum für Völkerkunde".

Z tego to Beninu pochodzi Chrystus Ukrzyżowany, rzeźba prymitywna z XVIII w., w której, gdy była pomieszczona na Wystawie Kolonjalnej w Paryżu, doszukali się francuscy historycy sztuki tylko wpływu średniowiecznej sztuki bretońskiej z obszaru między Nantes a Morlaix, przeniesionej do zachodniej Afryki przez Portugalczyków. Prawda, że w Beninie daje się wykazać największy w zachodniej Afryce import obrazów chrześcijańskich, a tem samem wpływ sztuki Europy na rzeźbiarskie i ornamentalne tradycje lokalne, niemniej w tym zabytkowym Chrystusie najciekawszą rzeczą jest wtłoczenie barbarzyńskiej formy fetysza w międzynarodowy schemat Ukrzyżowanego.



Na prawo: Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus. (Dahomej).

Zdumiewające wyniki inteligentnego stosunku katolickich misjonarzy francuskich do sztuki negrów w zachodniej Afryce świadczą o wielkiej odpowiedzialności czynników europejskiej cywilizacji za los kultury czarnych. Katolickie świątki negrów niechby jak najdłużej były przedmiotem kultu ludów, które wchłonąwszy zdegenerowane style epok faraonów egipskich, zdobyły się jednak na własną sztukę. Niechby jak najdłużej chroniła je Chrystusowa zasada: „Nie przyszedłem, aby burzyć, ale nowe budować".

Dr Tadeusz Seweryn.



Kobiety opłakujące Zbawiciela u stóp krzyża. (Dahomej).



Męczennik i anioł. (Dahomej).



Połknięcie Jonasza przez wieloryba. (Dahomej).

MAŁA PASTUSZKA.

Zamiast ozdobny pisać akrostych,
lepiej wyrazić się w słowach prostych:
że była sobie pastuszka mała,
która na łące gąski pasała...

Z.



Fantazja zmechanizowana

aparat robiący fotograficzne karykatury



Od lewej: Premjer Baldwin w karykaturze fotograficznej i w życiu prywatnem.

Nie zawsze można było poznać z fotografji, czy dokonano zdjęcia jakiegoś rzeczywistego układu osób lub rzeczy, czy też fotografowano jakieś dorobione rysunki lub odpowiednie części innych fotografij. Ale jedno było pewne ,że każdy aparat fotograficzny dawałby takie same zdjęcia, gdyby użyto go do sfotografowania danych objektów.

Niedawno jednak dokonano nowego wynalazku, który możnaby nazwać aparatem do karykaturyzowania. Herbert G. Ponting niedawno zmarły był jednym z najsłynniejszych fotografów. Brał on udział w ekspedycji Scotta do bieguna południowego i zdobył sobie światową sławę swojemi zdjęciami fotograficznemi z tejże ekspedycji. Był on także tym korespondentem wojennym, który w wojnie rosyjsko-japońskiej dokonał ogromnej ilości zdjęć fotograficznych z placu boju. W każdym jednak razie pod jednym względem fotografja zachowała swoją autentyczność, tj. że sam aparat fotograficzny nie zmieniał wyglądu objektów fotografowanych. Po wielu latach doświadczeń i po dokładnem zgruntowaniu zasad fotografji wynalazł on metodę i przyrząd do robienia karykatur, przy pomocy kamery fotograficznej.



Od lewej: Dwie udane karykatury fotograficzne Ramsaya Mac Donalda oraz jego fotografja „cywilna".



Na lewo od góry ku dołowi: „Czarodziej walijski" angielski mąż stanu Lloyd George, tak jak wygląda naprawdę, a jakim go widzi aparat robiący karykatury fotograficzne.

Do niedawna sądzono powszechnie, że aparat fotograficzny tem różni się od rysownika lub malarza, że jest zupełnie objektywny, albowiem działa według praw fizyki niezależnych od człowieka. Każdy malarz zaś lub rysownik choćby był skłonny do jaknajskrajniejszego realizmu jednak mimo swej woli wyciska pewne piętno na dziele swojem i pozostawia ślady swojego ściśle osobistego stylu.

Od czasu, gdy pojawiły się fotomontaże autentyczność i wiarygodność footgrafji straciły bardzo dużo na znaczeniu. Wiemy dzisiaj, że nie można w zupełności polegać na fotografji i że nie wszystko w rzeczywistości tak wygląda jak to fotografja przedstawia.

Wynalazek ten nie stanowi bynajmniej jakiejś konkurencji dla karykatur rysunkowych, podobnie jak fotografja nie konkuruje z malarstwem. Ale taksamo jak fotografja zczasem stała się samodzielną sztuką tak samo i fotokarykatura zapewne po udoskonaleniu zasłuży na miano odrębnego rodzaju karykatury artystycznej.

Nad wynalazkiem tym pracował Ponting przez kilka lat i podobno kosztował on tysiące funtów. Przedewszystkiem pozostaje wynalazek ten w związku z filmem karykaturalnym. Możnaby coprawda sądzić, że fotokarykatura będzie miała zastosowanie jedynie w filmach humorystycznych, ale w rze-

czywistości tak nie jest. Wynalazek ten można bowiem zastosować nawet w filmach poważnych. Użycie go nie jest bynajmniej skomplikowane. Nakłada się instrument wynaleziony przez Pontinga na kamerę fotograficzną, a stosując się do przepisów podanych przez wynalazcę można otrzymać zdjęcia niebywale efektowne. Fotograf zamienia się w satyryka i może zdziałać takie cuda o jakich dawniej wogóle nie myślano. Odkrywa się przed naszemi oczyma jakiś nowy kraj olbrzymów i dziwolągów, w którym wszystko jest skarykaturyzowane. Szyja konia staje się podobna do długiej szyji żyrafy. Krowy wyglądają jak małe pieski a sami ludzie podobni są raczej do jakichś tworów fantazji.

Zadaniem wynalazku jest nietylko stwarzanie fotografij karykaturalnych. Przyznać trzeba, że jest przecież wiele filmów, w których sny, widzenia i złudzenia mają być uwidocznione. Istnieją przecież tematy filmowe, wymagające przedstawienia na ekranie jakichś fantastycznych widziadeł i snów gorączkwoych. Dotychczas były potrzebne do wykonania takiego filmu kosztowne i skomplikowane aparatury. Przy pomocy nowego wynalazku rzecz taka stanie się tanią i łatwą. Tak samo istniały dotąd wielkie trudności z przedstawieniem na ekranie trzęsienia ziemi, rozmaitych zjawisk fizycznych i scen z bajek lub opowiadań o duchach. Obecnie wszystkie te zagadnienia są rozwiązane, a trudności zostały usunięte.

Możnaby teraz się zapytać, czy aparat Pontinga nie wykoślawia tak dalece rysów charakterystycznych przedmiotu fotografowanego, że stają się one zupełnie do oryginału niepodobne. Odpowiedź na to pytanie można dać następującą: aparat Pontinga daje efekty będące czemś więcej aniżeli groteską. Twarz osoby skarykaturyzowanej otrzymuje szczególny wyraz. To samo odnosi się i do rzeczy martwych. Można przedstawić na ekranie świat takim, jakim on przedstawia się człowiekowi zupełnie pijanemu. — Taka wizja świata widziana oczami człowieka będącego „pod gazem" różni się bardzo znacznie od wizji ludzi trzeźwych. Taksamo człowiek nerwowy widzi rzeczywistość inaczej aniżeli człowiek opanowany i skupiony. To wszystko można przedstawić przy pomocy nowego aparatu. W tym wypadku nie chodzi już o samą karykaturę. Taksamo przecież inaczej przedstawia się świat naszych snów i marzeń oraz świat widziany oczami dziecka. Film może z łatwością bez użycia jakichś pomocniczych rysunków przedstawić świat feryj i baśni. Widzimy więc, że wynalazek ten jest właściwie aparatem zmechanizowanej fantazji. Dotychczasowy pogląd, że soczewka fotograficzna nie umie kłamać, okazał się zawodny. Kamera fotograficzna z instrumentem Pontinga jest największym kłamcą i fantastą.

Jakże często życie jest bezbarwne i smutne — takie same były dotychczasowe zdjęcia filmowe, jeżeli chciały być realistyczne. Przy pomocy nowego wynalazku soczewka kamery nabiera humoru i fantazji, pozostawiając przytem soczewką fotograficzną w sensie naukowym. Fotokarykatury nie są bynajmniej zamazane, lecz zupełnie ostro zarysowane, wyraźne i doskonałe pod względem czysto fotograficznym. Każdy kto potrafi fotografować, potrafi odtąd także i karykaturyzować. Jest to zatem bogate pole i otwiera się nowa dziedzina dla pracy i inwencji reżyserów filmowych.

Bliższe szczegóły o zasadzie działania nowego aparatu nie zostały dotąd ogłoszone. Wynalazek ten wywoła jednak niewątpliwie wielkie zainteresowanie tych wszystkich, którzy interesują się fotografją lub filmem.

Inż. J. A.

NASZE ANKIETY NA... WESOŁO

Kochani Czytelnicy! Zapewne wiecie, jak trudno dostać się przed oblicze ludzi sławnych, a więc mężów stanu, uczonych, artystów. Raz staje temu na przeszkodzie ich zły humor, to znów rozliczne zajęcia, wkońcu i miejsce zamieszkania, odległe od naszej redakcji nieraz o setki, a nawet tysiące kilometrów, co uniemożliwia szybkie otrzymanie wywiadu. Dlatego zdecydowaliśmy się rzucić na niepewne wody przypadku wyniki naszych dwóch, poprzednio już kilkakrotnie publikowanych ankiet, skierowując w drodze listownej zapytania pod adresem sławnych ludzi.

A oto ich odpowiedzi w następującej kolejności tematów:

I. Cobym zrobił, gdybym miał miljon złotych?

II. Najdramatyczniejszy moment w mem życiu.

Henryk Ford:



„Gdybym miał **tylko** miljon złotych, powiedziałbym sobie, że zeszedłem na dziady..."

„Najdramatyczniejszym momentem w mem życiu była chwila, gdy po raz pierwszy jechałem własnym **seryjnym** samochodem...".

Adolf Hitler:

„Nie chciałbym posiadać nigdy miljona złotych, gdyż wówczas miałbym olbrzymie kłopoty z ulokowaniem tej sumy w jednym z solidnych banków szwajcarskich..."



„Życiu memu groziło raz poważne niebezpieczeństwo: udławiłem się ością z rytualnie zabitej ryby. W tak perfidny sposób zamierzali żydzi zgładzić wodza Niemiec! Precz z ubojem rytualnym!..."

Haile Selassie:

„Na nic mi miljon! Czy jest suma, którąby można zatkać paszcze żarłocznych Italczyków?"



„Było to niedawno — sprowadzono pierwsze lustro do Addis-Abeby — kiedy zobaczyłem w niem moją twarz, rozpłakałem się ze zmartwienia, myślałem, że jestem przystojniejszy"

Prof. Kazimierz Nitsch:

„Kupiłbym sobie Linguaphone..."

„Raz wymyśliłem kilka nowych reguł gramatycznych i... na śmierć je zapomniałem".

Bernard Shaw:



„Posiadanie miljona jest niemoralne — ja więc, jako zwolennik moralności, chciałbym mieć tę sumę, aby móc zwalczać miljonerów..."

„Całe moje życie jest dramatem i nie mogę teraz zdradzić kulminacyjnego momentu, który przecież dopiero nastąpi..."

Agapit Krupka:

„Zmieniłbym sobie nazwisko".

„Patrz I. K. C. co poniedziałek".

Sonja Henie:

„Chociaż moje obecne zarobki, jako zawodowej łyżwiarki, nie są już tak dobre, jak dawniej, mam nadzieję, że niedługo znowu dorobię się miljona..."

„Już się raz kochałam..."

Zygmunt Nowakowski:



„Nie gram na loterji, ani nie składam pieniędzy w P. K. O. — dlatego nigdy nie będę miał miljona".

„Rzucił się raz na mnie wściekły pies. Na szczęście przypomniałem sobie w porę Juljusza Cezara i zawołałem: I ty na mnie, prezesa Z. O. Z.-u! — kundel zadowolił się tylko... spodniami".

Antoni Słonimski:

„Wybrałbym się w podróż dookoła świata, bo na finansowanie krótszych wycieczek nie stać moich nakładców".

„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu nastąpił wówczas, kiedy mnie wzięto za... żyda".

Jan Kiepura:



„Od przybytku głowa nie boli..."

„Było to w Neapolu... idę sobie ulicą i słyszę, jak ktoś cudownie śpiewa... prawie tak, jak ja. Zaniepokojony zaglądam do okna na parterze, z którego dochodzi głos i spostrzegam, że to gramofon. — Czyj to głos? — pytam. Uspokoiłem się dopiero wtedy, gdy mi powiedziano, że to śp. Caruso".

Zofja Nałkowska:

„Miljon? Cóż to jest takiego?
Dziesięć sukni od Hersego,
Buty, futra, kapelusze
I autami jeździć muszę.
Miljon złotych daj mi „Asie"
A trzy setki schowam w kasie!"

„Wieczorną — niezdecydowanie smutną porą — wkradł się do mej duszy strach — niepokój... Co robić — pomyślałam — aby chwila ta minęła z szybkością mgławicy, unoszącej się zza świata. Serce biło, jakgdyby chciało wyrwać się z zamykającej je piersi. Dlaczego właściwie nie można rozkazać ciału, aby przestało boleć?" (I my nie wiemy i nic nie rozumiemy. Przyp. autora).

Dunikowski:



„Gdybym miał miljon złotych, wówczas nigdy już nie próbowałbym robić złota..."

„Miałem raz straszny sen: śniło mi się, że wreszcie zrobiłem złoto — możecie sobie wyobrazić, jak się zmartwiłem po przebudzeniu..."

H. G. Wells:

„Pieniądze, to przeżytek epoki — nie myślę nad tem, jak je zużytkować, ale czem je zastąpić...

„Wsiadłem raz na wehikuł czasu i pojechałem na nim w krainę przeszłości. Zobaczyłem siebie w młodości i obrazy tych wszystkich szaleństw, które wówczas popełniłem. Przerażony, prędko wysiadłem, nie chcąc, by się one rzeczywiście wydarzyły. Jest to jedyny powód, dla którego nie mogę przesłać do numeru świątecznego „Asa" fotografji tego wehikułu, gdyż równocześnie z opuszczeniem go przestał on istnieć — może narysuje go Charlie. Good-bye!"

Z telegramów i listów przepisał „As".

WIELKI · TYDZIEŃ
W · SEWILLI

Od półwyspu Iberyjskiego dzielą nas setki kilometrów, a jednak mało jest narodów, któreby dla Polaka stanowiły przedmiot takiego zainteresowania, jak ojczyzna Cervantesa. Tłumaczy się to z jednej strony wielką rolą, jaką Hiszpanja odgrywała przez długie wieki na kontynencie europejskim, z drugiej pewnemi podobieństwami, zachodzącemi między usposobieniem Polaków i Hiszpanów. Polegają one nietylko na wspólnem obu narodowościom poszanowaniu tradycyj i przywiązaniu do religji katolickiej, ale także na skłonności ich do wyrażania uczuć w sposób bezpośredni i impulsywny, na zamiłowaniu do pewnych form muzycznych i wielkiem poczuciu rytmiki, a wreszcie na kierowaniu się w wielu wypadkach przedewszystkiem zasadami honoru i szlachetnej dumy. Postacie Cyda i Jana III Sobieskiego są znamiennym dowodem tego podobieństwa dziejowego.

Z chwilą utraty niepodległości przez nas, Hiszpanja stała się dla nas z konieczności krajem prawdziwie egzotycznym, znanym tylko garści wybranych, których przypadek lub interesy zaprowadziły za Pireneje. Nie ulega jednak wątpliwości, że zainteresowanie nią nie osłabło.

Piękne położenie nad brzegami Gwadalkwiwiru, łagodny klimat, wiecznie lazurowe niebo, rozległe ogrody, przesycone wonią kwiatów, a przedewszystkiem pełna życia i temperamentu ludność i jej ciekawe zwyczaje wysuwają Sewillę na czoło wszystkich miast starej Hiszpanji. Skąpana w potokach słonecznego światła stolica Andaluzji stanowi pod pewnemi względami dziwną mieszaninę smutku i wesołości, powagi i beztroski, przejawiających się w tajemniczej ciszy wąskich i krętych uliczek starych dzielnic, oraz hałaśliwego zgiełku placów i jezdni nowoczesnych części miasta. W samym jej środku wyniosła wieża kościelna, opiewana przez tylu poetów, Giralda, przedmiot dumy i miłości wszystkich mieszkańców, wznosi się ponad starą katedrą, słynną z zabytków sztuki i legendarnych tradycyj, które tu wzięły swój początek. W istocie, Sewilla należy do tych nielicznych miast Europy, które umiały aż do ostatnich czasów, podobnie, jak Kraków, Toledo, Norymberga, zachować swą odrębność kulturalną, przejawiającą się w szeregu obchodów i zwyczaji.



Fragment procesji w Wielki Piątek w Sewilli.

Radość życia i wesołość, a z drugiej strony szlachetna duma, głęboka pobożność i skłonność do mistycyzmu, właściwe duszy każdego Hiszpana, przejawiają się także i w uroczystościach religijnych, które tam posiadają szczególny charakter. Cechuje je pełne namaszczenia uwielbienie każdej świętości, a także swoista radość i wdzięczność za to, że Bóg obdarzył swą opieką ten cudny kraj, który w ciągu wieków umiał stawić czoło największym niebezpieczeństwom. Dlatego też najpoważniejsze ceremonje nie mają w Hiszpanji cech purytanizmu, nie są zimnemi hołdami, składanemi groźnemu Stwórcy przez lękających się Jego gniewu wyznawców, ale wypływają z wewnętrznej potrzeby i przemawiają do serca. Uwidacznia się to zwłaszcza w obchodach Wielkiego Tygodnia, święconego w Hiszpanji z wielką uroczystością przedewszystkiem w miastach, których klasztory i kościoły stanowiły ośrodek kultury od szeregu stuleci i wokół których grupowały się bractwa, dbające o żywotność pewnych zewnętrznych objawów pobożności swoich członków. Wielki Tydzień jest tam Tygodniem świętym („Semana santa"), jedynym może tygodniem w roku, w którym ujawniają się pewne właściwości charakteru mieszkańców, a jednym z nielicznych tygodni, w których cała ludność wylega na ulice miasta, aby zamanifestować swoje religijne uczucia. To pewne jednak, że czar Wielkiego Tygodnia, jego mistyka i poezja, nigdzie tak do duszy nie przemawiają, jak w Sewilli. Nic też dziwnego, że zjeżdżają się tam wówczas tłumy ludzi, aby przypatrzeć się licznym procesjom, organizowanym przez poszczególne bractwa („cofradias"), występujące w charakterystycznych, średniowiecznych strojach. Stroje te przypominają habity pątników, połączone są jednak z nakryciem głowy w kształcie długiej, zasłaniającej twarz kapuzy, z pozostawionemi tylko otworami na oczy. Szeregi przystrojonych w białe, czarne i brunatne habity członków bractw, którzy niosą grube świece woskowe, przypominają w pewnych chwilach charakterystyczne dla południowych cmentarzy cyprysy, ożywione przez jakąś przemożną siłę. Wyprzedzają one i towarzyszą niesionym zazwyczaj przez kilkunastu ludzi podobiznom Cierpiącego Chrystusa lub Matki Boskiej Bolesnej, wielkim posągom, otoczonym szeregami płonących świec i umieszczonym pod baldachimami. Posągi te przybrane są w powłóczyste, bogate szaty, lśniące od drogich kamieni, złotych i srebrnych ozdób i świecidel i zależnie od zamożności danej parafji przedstawiają nieraz ogromną wartość w zawieszonych na nich wotach. Przenoszenie tych posągów nie jest rzeczą łatwą ze wzglę-



Oto część pałacu zbudowanego w Sewilli z okazji wystawy.



Piękne Hiszpanki śledzą z balkonów procesję wielkopiątkową.

du na ich ciężar i rozmiary i tem się tłumaczy długie trwanie procesyj. — Charakterystyczne pieśni nabożne, poświęcone zazwyczaj Matce Boskiej i śpiewane przeważnie przez kobiety, towarzyszą procesji. Pieśni te, obfitujące w melodyjne frazy, zowią się „saetas" i przyjmowane są niejednokrotnie oklaskami przez zadowolonych słuchaczy. Zdarza się jednak, że śpiewająca przeceni swe siły i nie może dośpiewać do końca swej „saety", na co tłum reaguje okrzykami i śmiechem. Są one, jakby publicznem wyznaniem wiary, przybranem w formę pieśni, nawpół tęsknej, nawpół namiętnej, raczej radosnej, jak z charakterystycznemi zawodzącemi zakończeniami.

Procesje Wielkiego Tygodnia rozpoczynają się już w Niedzielę Palmową, ale kulminacyjnym punktem uroczystości są dopiero dwie procesje wielkopiątkowe, z których „la madrugada" odbywa się w nocy, w tajemniczym, właściwym jej nastroju, przy świetle pochodni i płonących świec, a procesja dzienna, odbywająca się w godzinach popołudniowych, ma charakter manifestacji religijnej i narodowej. Biorą w niej udział nietylko dostojnicy Kościoła, duchowieństwo i liczne bractwa, ale także przedstawiciele władz miejskich, rządu, wojska i wyższych uczelni. Za panowania Alfonsa XIII brał w niej często udział sam król wraz z całym dworem.

Obraz, jaki przedstawiają wówczas ulice Sewilli, daje wrażenia niezapomniane. Wielotysięczne tłumy widzów przyglądają się pochodowi z trybun, wzniesionych na placach i chodnikach. Na balkonach kamienic, tak charakterystycznych dla tej części Hiszpanji, gromadzą się kobiety, które w Sewilli noszą jeszcze tradycyjne, czarne mantylle, harmonizujące z ich ciemną cerą, czarnemi włosami i oczami, o których mówił poeta, że „mogą zgubić lub dać szczęście na całe wieki". Rzesze przesuwających się głównemi ulicami od katedry uczestników procesji, przybranych w habity, olbrzymie posągi święte, niesione na barkach wiernych, barwne mundury wojska i milicji, rozbrzmiewające w powietrzu i w sercach melodyjne saety, wszystko to stanowi całość jedyną w swoim rodzaju. Nie widać nigdzie właściwego u nas w Wielkim Tygodniu skupienia, powagi, a nawet przygnębienia. Jest to w całem tego słowa znaczeniu uroczystość ludowa, gdyż biorą w niej udział wszystkie warstwy, a procesja zatrzymuje się nawet przed więzieniami, aby dać zamkniętym możność wzięcia w niej udziału przynajmniej myślą.

Następne dni Wielkiego Tygodnia cechuje już nastrój wybitnie świecki, gdyż w tym właśnie czasie rozpoczynają się zazwyczaj pierwsze walki byków na miejscowej arenie, bez których Hiszpanie nie wyobrażają sobie życia i którym przyglądają się zawsze tysiączne tłumy oraz przedstawienia o charakterze popularnym, przypominające nasze przedstawienia pasyjne, w których biorą udział najwybitniejsi artyści Hiszpanji. Jeszcze kilka dni i miasto wraca do codziennej pracy, pustoszeje i karmiąc się wspomnieniami wspaniałych uroczystości, zaczyna przygotowywać się do dorocznych „ferias".

Ostatnie lata i zmiana rządów w Hiszpanji odbiły się niekorzystnie na obchodach, organizowanych przez stowarzyszenia religijne. W związku z tem i uroczystości Wielkiego Tygodnia w Sewilli, także w Toledo, straciły wiele na przepychu i okazałości. Trudno jednak przypuścić, aby ludność Hiszpanji wyrzekła się na czas dłuższy manifestowania pewnych uczuć i podkreślania ich w sposób, jakiego nauczyły ją całe pokolenia i aby wiekowe tradycje poszły w niepamięć ze względów politycznych. Zbyt przemawiają one do duszy Andaluzyjczyków, zbyt są zgodne z ich charakterem i temperamentem. Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, że uroczystości Świętego Tygodnia były i są w Hiszpanji nie atrakcją turystyczną, nie obchodem ściśle religijnym, ale manifestacją uczuć narodowych.

Wanda Skurczyńska.



Zdrewniałe naczynia o kształcie rur, któremi soki mineralne krążą po roślinie.

Jak drzewa pracują na wiosnę?

Skoro tylko pierwsze promienie wiosennego słońca zbudzą ziemię z jej zimowego odrętwienia. w przyrodzie rozpoczyna się gorączkowa praca. Niekiedy, jeszcze z pod śniegu wychylają swe drobne główki śnieżyczki, pierwsze zwiastuny wiosny. W ślad za niemi zjawiają się w lasach niebieskie kobierce przelaszczek, nad brzegami strumyków i na wilgotnych łąkach złocą się kaczeńce, zaczynają zakwitać pierwiosnki i zawilce.

Drzewa, które przez długie miesiące stały smutne i nagie i jakgdyby martwe, zaczynają pulsować życiem. Pączki ich, które pojawiły się jeszcze z końcem lata, małe i nikłe, ukryte w kątach liści, otulone szczelnie łuskami dla ochrony przed zimnem i wilgocią, teraz dopiero stają się dobrze widoczne, napęczniałe od życiodajnych soków pękają pod ich naporem i rozchylają swe lepkie i od żywicy lśniące łuski.

Skądżeż wzięły się te ożywcze soki, które zbudziły drzewo z jego dotychczasowej martwoty?

Na czas zimy zamarzła ziemia, a wraz z nią stężały soki potrzebne roślinom. Drzewom groziła śmierć z głodu i pragnienia. Przy pomocy zatem swych pączków szczelnie zamkniętych zapadły w letargiczny sen, aby obudzić się z wiosną, gdy w żyłach matki-ziemi znowu poczną krążyć świeże soki.

Soki te, pobrane z ziemi, niekiedy w ilości kilkudziesięciu, a nawet i kilkuset litrów w ciągu dnia, zostają rozprowadzone po całej roślinie, docierając do pączków nawet najwyżej położonych. A wysokość drzew niekiedy jest bardzo znaczna. U naszych drzew nie przekracza ona kilkudziesięciu metrów, u amerykańskich jednak sekwoji zwanych również drzewami mamutowemi, dochodzić może ponad 140 metrów, a u australijskich eukaliptusów nawet do 150, osiągając w ten sposób niemal dwukrotną wysokość wieży Marjackiej.

Jakżeż to możliwe, aby soki mogły zostać wyciągnięte przez roślinę na tak znaczną wysokość? Wiemy przecież dobrze, że zwykła pompa ssąca nie podniesie wody wyżej jak na 10 metrów, gdyż słup wody o tej wysokości zostaje zrównoważony przez ciśnienie atmosferyczne. Jeżeliby człowiek zapragnął wyciągnąć wodę na wysokość kilkudziesięciu metrów, musiałby zastosować specjalnie silną pompę ssąco-tłoczącą.

Nieinaczej jest także w roślinie, tylko, że przyroda gospodaruje znacznie ekonomiczniej. W drzewie pracuje jakgdyby wielka pompa, na którą składają się różne części roślinne. Od strony korzenia niby pompa tłocząca, która powoduje podnoszenie się soków ku górze, działa siła tak zwanego „parcia korzeniowego". Objawia się ona często na wiosnę pod postacią „płaczu rośliny" np. na ciętym pniu drzewa; prące ku górze soki pozostające pod ciśnieniem, obficie wylewają się z rany. Z pomocą przychodzi druga pompa — ssąca, którą stanowią parujące liście. Niemałą wreszcie rolę w podciąganiu wody ku górze odgrywa także ciśnienie, panujące w żywych komórkach rośliny.



Rozwijający się pączek kasztanowca.

Rozgałęzione naczynia, stanowiące unerwienie liścia, widziane pod mikroskopem.

Woda wraz z solami mineralnemi, którą rośliny czerpią z ziemi przy pomocy korzeni, wznosi się naczyniami, które stanowią długie, puste wewnątrz rury o zdrewniałych ścianach. Silna ich budowa wzmocniona przez zgrubiałe listewki, które nadają naczyniom wygląd pierścieniowatych, spiralnych lub centkowanych, doskonale dostosowana jest do ciśnienia, jakie panuje w roślinie. A na spodniej stronie liści występują liczne, maleńkie, tylko pod mikroskopem dostrzegalne, szparki, które mogą się otwierać i zamykać w miarę potrzeby.

Z ich pomocą chłonie roślina z powietrza gazowy dwutlenek węgla, który w złożonym procesie przyswajania w połączeniu z wodą przyczynia się do powstawania skrobji, zamienianej następnie na cukier. Przy pomocy szparek wyparowuje także roślina wodę, skutkiem czego sok znajdujący się w komórkach, a zawierający w swym składzie cukier i różne sole, zostaje zagęszczony i oto komórki z zagęszczonym sokiem wciągają nowe ilości wody. Ciśnienie zachodzące w komórkach jest niekiedy znaczne, wynosząc nawet kilkadziesiąt atmosfer. Niemałą jest również i siła ssania liści. W liściach najwyżej położonych mierzono ponad 30 atmosfer. Wszystkim dobrze znane na liściach „żyłki" rozgałęziającemi się naczyniami, które stanowią przedłużenie naczyń biegnących w łodydze czy pniu.

Ta olbrzymia praca podjęta przez rośliny na wiosnę, stanowi jeden z tych przejawów życia Przyrody, wobec którego człowiek musi stanąć pełen podziwu.

Dr Z. M.

Poniżej: Szparka oddechowa na spodniej stronie liścia.





DJAMENTOWA DŻUNGLA...

Dopiero dziś mogę rzucić na szpalty prasy światowej garść szczegółów, odnoszących się do sensacyjnej wyprawy amerykańskiego geologa Johna Smitha, który razem ze swą żoną i szwagierką udał się przed rokiem w dorzecze Rupununi, najbardziej tajemniczej rzeki angielskiej Gujany, by na miejscu zbadać prawdziwość krążących w Południowej Ameryce legend o drzemiących w bagnach niedostępnej dżungli olbrzymich skarbach naturalnych.

Wyprawa geologa i jego uroczej małżonki natrafiła już w początkowym swym etapie na nieprzezwyciężalne zda się przeszkody. Oto bowiem krajowcy, przejęci jakimś zabobonnym lękiem, za żadne skarby świata nie chcieli wziąć udziału w wyprawie mr. Smitha, twierdząc, że może im to tylko przynieść same nieszczęścia. Dopiero po bardzo długich poszukiwaniach udało się znaleźć kilkunastu chętnych murzynów z wioski Ichrowa i z ich pomocą uruchomić wielką łódź, specjalnie zbudowaną dla geologa w Stanach Zjednoczonych.

Rozpoczęła się jedna z najbardziej niebezpiecznych podróży... Trasa wiodła wzdłuż brzegów rzeki Rupununi, które ekspedycja szczegółowo badała, kierując się wskazówkami jednego z poprzedników mr. Smitha. Uczony ten zdołał już kilkanaście lat temu ustalić prawdopodobieństwo istnienia w dorzeczu Rupununi złóż djamentowych i tylko wskutek niebezpiecznej choroby tropikalnej przerwać musiał swe badania. Jadowite węże i owady, których ukąszenie groziło zapadnięciem na straszną febrę, kilka dzikich szczepów murzyńskich — oto jedyne żywe istoty, na które natrafiła ekspedycja w drodze przez dżunglę.

Aż wreszcie nadszedł moment, w którym podróż łodzią okazała się zupełnie niemożliwą. Ekspedycja rozbiła nad brzegiem rzeki namioty i z tej bazy operacyjnej rozpoczęła dalekie wypady na kajakach, które łatwiej pokonywały płycizny górnego biegu rzeki. Wkońcu trzeba było zrezygnować i z tego środka lokomocji, przemierzając dalekie przestrzenie bagien piechotą. Pewnego dnia natrafiono na złoża, które po starannem płókaniu wydały pierwsze djamenty. Ilość jednak znalezionych okazów w ciągu całych miesięcy żmudnej pracy nie pokryła olbrzymich kosztów ekspedycji.

Djamentówa dżungla Gujany pozostanie skarbcem, którego nie opłaca się eksploatować. *Rodney.*









Na prawo od góry: Droga wgłąb dżungli wiodła przez rzekę Rupununi...— Łódź podróżników najechała na mieliznę i musi być z niej ściągnięta linami — Jeden z tubylców poluje na ryby zapomocą łuku i niezwykle długich strzał... — Żona geologa i jeden z krajowców odnajdują w górnym biegu rzeki Rupununi piękne okazy djamentów...



Poniżej: Pani Smith w rozmowie z małą murzynką, która na śniadanie zjada olbrzymi placek.



Geolog John Smith i jego żona podczas przeprawy przez bagna angielskiej Gujany.



Na prawo: Żona i szwagierka geologa Smitha w otoczeniu czarnych wioślarzy.

BANANOWA SKÓRKA

NOWELA

Sprzedawcy kapeluszy znają się na rzeczy: ostrożnie biorą kapelusz, który zamierzają sprzedać, kładą go ładnie i zgrabnie na głowę, tak, że sprzodu spada na oczy, stylu zaś nie zakrywa całej głowy, cofają się parę kroków wtył, i mówią z przekonaniem:

„W tym kapeluszu jest panu świetnie, świetnie".

Zgadza się to z prawdą tylko wtedy, jeżeli ten „ktoś" ma ochotę być podobnym do komika z cyrku. Na usprawiedliwienie owego sprzedawcy, który obsłużył Anzelma Gillecoeura, trzeba przyznać, że i bez kapelusza poczciwy Anzelm nie miał zbyt mądrej miny.

Był to łagodny, nieśmiały, trochę nawet naiwny młody człowiek, który nie miał serca rozczarować kupca i dlatego kupił zachwalany kapelusz, nie odważywszy się na zażądanie większego numeru; zapłacił i wyszedł ostrożnie na ulicę, pełen obawy, żeby mu gwałtowniejszy powiew wiatru nie zrzucił nowego przykrycia głowy.

Kapelusz ten podobał mu się zresztą bardzo. Od dziesięciu lat był to przecież pierwszy kapelusz, w którym było mu tak do twarzy. Idąc ulicą, z ukrytą dumą przeglądał się w wielkich szybach wystawowych. Głęboko zatopiony w podziwianiu samego siebie, potrącał tego i owego przechodnia, co zmuszało go do połknięcia niejednej mało pochlebnej uwagi.

Był pedantem; każdego dnia szedł tą samą drogą, udając się ze swego mieszkania do biura notarjusza, u którego pracował w charakterze pisarza. Droga ta prowadziła ulicą Vaugirard (lewą stroną), ulicą Rotrou, poprzez ulicę Odeon (prawą stroną), aż na bulwar Saint-Germain.

I tak znalazł się dzisiaj pośrodku ulicy Odeon; uśmiechnął się właśnie z upodobaniem do swojego odbicia w szybie wystawowej, gdy mu coś z cichem klaśnięciem spadło na kapelusz, a potem na ziemię. Była to bananowa skórka. Czarna, lepka skóra przejrzałego banana.

„O Boże! Oburzony Anzelm zdjął kapelusz: Skórka prześlizgnęła się po jego płaszczyźnie i zostawiła szeroki, wilgotny pas... Jego nowy kapelusz! Kapelusz, w którym mu było tak dobrze... Pierwszy kapelusz, który mu się od dziesięciu lat podobał. Że też istnieli tacy niewychowani ludzie, którzy resztki swego obiadu wyrzucali przez okno. Gniewnie spojrzał Anzelm dogóry, żeby zobaczyć twarz winowajcy.

Zobaczył. No, nie przypuszczał coprawda, że tak będzie wyglądała. Była to biało-różowa twarzyczka, bardziej różowa niż biała, w której świeciły się wielkie, czarne oczy; otoczona całą masą czerwonych loków. Słowem twarz zachwycającej kobiety. Stała w oknie na trzeciem piętrze i w żywych ruchach wyrażała żal i przepraszała Anzelma za swoją nieuwagę. Anzelm czuł się głupio ze swoją oburzoną miną. Różnemi minami próbował jej dać do zrozumienia, że nie zdarzyło się nic strasznego, że jest zupełnie przyjęte wyrzucać skórki bananowe na ulicę i, że bardzo żałuje, że musi patrzeć na to, jak takie czarujące stworzenie prosi o przebaczenie.

Młoda dama w oknie zrozumiała odrazu i uśmiechnęła się przyjaźnie, Anzelm włożył kapelusz na głowę, ukłonił się raz jeszcze i z bijącem sercem poszedł swoją drogą.

Gdy był już na rogu bulwaru Saint-Germain, zdjął kapelusz i dokładnie obejrzał szkodę. Och jaka straszna plama! Ale Anzelm spoglądał na nią bez gniewu, a raczej ze spokojną melancholją; cierpiał nie z powodu zepsutego kapelusza, ale dlatego, że wyobrażał sobie, jak śmiesznie musiał wyglądać przedtem z gołą głową i wściekłą miną...

Następnego dnia o tej samej godzinie pierwsza dwadzieścia (był zawsze punktualny), skręcił na róg ulicy Odeon, tym razem poszedł jednak lewym chodnikiem, żeby móc lepiej zobaczyć młodą niewiastę, jeżeli oczywiście będzie miał to szczęście i zastanie ją w oknie. I tym razem miał to szczęście! Ładna nieznajoma stała w oknie; zdawało się Anzelmowi, że trzyma coś w ręku i że to „coś" jest skórką z banana. Jednak w chwili, gdy ujrzał przedmiot swych cichych marzeń, spuścił skromnie oczy nadół.

Nazajutrz, a była to środa, o mało co nie upadł potknąwszy się na czemś śliskiem... W czwartek spostrzegł na ziemi skórkę z banana, ale pięknej młodej pani nie było: okno było zamknięte. Musiała wcześniej zjeść obiad.

Wreszcie w piątek kapelusz jego byłby na nowo zawarł znajomość z bananową skórką... Zebrał się na odwagę i spojrzał dogóry: „ona" stała w oknie i żywemi gestami obrazowała swój żal, lecz w rysach jej dostrzec można było tym razem oprócz wyrazu skruchy, uśmiech powitania. Złożyła usta w „ciup" i skłoniła lekko głowę, co miało prawdopodobnie oznaczać „Naprawdę jestem niemożliwa"... Ramiona jej poruszały się żywo, jakgdyby chciały powiedzieć: „Przyzwyczajona jestem do wyrzucania łupin przez okno", a jej czerwone usteczka uśmiechały się słodko: „Wiem, że się pan na mnie nie gniewa". Głowa Anzelma, jego ręce i ramiona poruszały się rytmicznie w takt niewypowiedzianych słów: „Jest pani najbardziej czarującem stworzeniem, jakie znam i myślę, że panią kocham".

Pełen zachwytu zdjął kapelusz w głębokim ukłonie, poczem oddalił się, uważając przytem, żeby się nie potknąć o leżącą skórkę.

A skórka bananowa była złośliwym wrogiem: zdaleka już jej wypatrywał dnia następnego. Leżała na ulicy. Ale okno pięknej pani było znowu zamknięte. Serce Anzelma ścisnęło się boleśnie: dziś jej nie zobaczy. Zrobił taki ruch ręką, jakgdyby rozwiązało mu się sznurowadło, schylił się i podniósł łupinę... Na szczęście dzisiaj nie była czarna i kleista, lecz zielona i jędrna. Wziął ją na pamiątkę, wsunął do kieszeni na piersiach i całe popołudnie marzył w biurze o czarnookiem dziewczęciu. Widział ją w jadalni... małej jadalni... jasnej i małej... Je właśnie obiad... Prędki obiad samotnej osoby... kotlet, parę gotowanych kartofli... owoc, banan. Śpieszy się bardzo , bo pracuje i boi się spóźnić, na stojąco więc połyka banana i — hop — żeby poszło prędzej wyrzuca łupinę przez okno... Ulicą przechodzi właśnie przystojny młody człowiek — Anzelm naturalnie — i... ...i Anzelm snuł romans dalej.

A właściwie dlaczego nie miałby go przeżyć w rzeczywistości? Przecież mógłby to urządzić, żeby go jeszcze raz trafiono łupinką, a wtedy zamiast pozdrowić winowajczynię, wciśnie mocno kapelusz na głowę i z dobrze zagranym gniewem wdrapie się na te trzy piętra, które prowadzą do przedmiotu jego marzeń...

Świetny pomysł!

Nazajutrz stał już o pierwszej godzinie pod jej oknem: Nie było jeszcze bananowej skórki na chodniku... O godzinie pierwszej minut dziesięć, rudowłosa piękność wyjrzała przez okno, a o pierwszej dwanaście przeleciało coś przez powietrze; była to reszta banana, która uderzyła błogo czekającego Anzelma prosto w twarz!... O Boże! W jednej chwili znalazł się Anzelm na trzeciem piętrze...

W czternaście dni potem, wkraczał uroczyście i dumnie na te same schody, trzymając pod rękę piękną młodą kobietę, otuloną w biały jedwab: na piersi jej kołysał się mały bukiecik z mirtu.

Niestety, czyż istnieje całkowite szczęście człowieka, gdy niema nikogo ktoby mu go zazdrościł?...

Anzelm uprzytomnił sobie, że wtedy dopiero będzie zupełnie szczęśliwy, gdy znajdzie człowieka, który mu pozazdrości jego szczęścia. Zaprosił więc swego kolegę Blennota na niedzielę na obiad.

Blennot zjawił się trochę za wcześnie; właśnie gdy pukał do drzwi, młoda małżonka zeszła do piwnicy po wino.

— Drogi staruszku — zauważył śmiejąc się Blennot po serdecznem przywitaniu — gdybyś kiedyś później miał ochotę na maleńką zdradę małżeńską, nie musisz daleko szukać. W tym samym domu mieszka bardzo przyjemna osóbka. Spotkałem ją przedtem na schodach! Mieszkała dłuższy czas naprzeciwko mnie. Ho, ho, wyrafinowane stworzenie z tej czerwonowłosej kobietki! Wynalazła świetny tryck, żeby sobie zdobyć klientów: wyobraź sobie, że stawała w oknie i gdy widziała dobrze ubranego młodego człowieka, rzucała mu pozrnie przez nieuwagę bananową skórkę na głowę... Młodzieniec bywał spoczątku bardzo oburzony, lecz potem usprawiedliwiała się tak zapraszającym uśmiechem, że większość młodych ludzi wchodziła na górę i... hop! nic nie przeczuwająca ofiara siedziała w potrzasku; potem okno zamykano. Och, miała powodzenie! Obserwowałem ją często podczas wolnych popołudni. Przed paru miesiącami wyprowadziła się, a teraz słyszałem, że znalazła głupiego, który się z nią ożenił..."

— Drogi przyjacielu — przerwał Anzelm, jąkając się ze zdenerwowania, zapomniałem ci powiedzieć, że mojej żonie obiad ten jest bardzo nie na rękę, pójdziemy więc obaj do restauracji. Tu masz twój kapelusz. Chodź prędko!

(Tłum. z niem. **Łucja Karska**).

I. Śpiewacy i śpiewaczki



Na prawo: Amelita Galli-Curci



Giovanni Martinelli.



Marja Jeritza.



Benjamino Gigli.



Lily Pons.



Lawrence Tibbett.



W kole: Grace Moore.







Powyżej od lewej: John Mc Cormack. Ryszard Tauber. Tito Schipa.

We wszystkich większych centrach cywilizowanego świata istnieją prócz giełd pieniężnych i towarowych także i giełdy artystyczne, skupiające na swych tablicach kursowych nazwiska najsłynniejszych śpiewaków, pianistów, skrzypków, tancerzy itp. Pracują one anonimowo, bez tych wszystkich dramatycznych akcesorjów, które handel dewizami, czy papierami wartościowemi przemieniają w fragmenty okrutnej nieraz walki, toczącej się na marmurowych posadzkach gmachów przy Wallstreet, czy pl. de la Bours: funkcjonują w przeciwstawieniu do giełd pieniężnych perjodycznie, ponieważ notowane przez nie wartości zmieniają kurs nieraz po bardzo wielu latach.

Zwykle dopiero pojawienie się nowych wartości, lub upadek dawnych stają się przyczyną wznowienia ich czynności, bynajmniej nie skupionych w murach jednego gmachu, lecz rozproszonych pomiędzy dziesiątki, a nawet setki biur managerów.

Oni to są równocześnie władzami i klientami giełdy artystycznej; oznaczają kursy wielkich gwiazd muzycznych czy tanecznych, po których nabywają je dopiero sale koncertowe, teatry operowe, operetkowe i in. Notowania uskutecznia każdy z nich dla siebie, a rzadko się zdarza, by rożniły się one między sobą.

W ten sposób każdy z artystów o ustalonej marce, ma też równocześnie ustaloną wysokość pobieranych w różnych miastach honorarjów. Rzecz oczywista, że taki stan rzeczy tylko bardzo przedsiębiorczym i obdarzonym wybitnym talentem jednostkom, nie może przeszkodzić w dorobieniu się fortuny.

Jednostki te należą jednak do wyjątków, tworząc elitę artystycznego Olimpu. Reszta jego mieszkańców, to plejada mniejszych gwiazd, dokładnie oznaczonych przez dzisiejszych handlarzy wartości artystycznych. Na giełdzie, która je notuje, każdy prowadzi walkę na swój rachunek. Niema tam karteli, trustów, syndykatów... gdy zwycięstwo przypadnie artyście, płaci za nie publiczność — nigdy manager. On bowiem zawsze zainkasuje swą prowizję, choćby honorarjum artysty sięgało zawrotnych wyżyn. Na tem tle nieraz już dochodziło do dramatycznych konfliktów, ale rekord pobiła słynna Lily Pons, której bezwzględność w egzekwowaniu wygórowanych żądań doprowadziła nawet do zbrojnych zaburzeń w Ameryce Południowej.

Plejadę wielkich śpiewaków i śpiewaczek, których wartość oznaczają giełdy artystyczne świata najwyższym kursem, rozpoczniemy od Amelity Galli-Curci. Urodziła się ona w r. 1889 w Medjolanie, kolebce bel canta. Po krótkich stosunkowo studjach debjutuje w rzymskim Theatre Constanzi i uzyskuje niebywały sukces. Zaangażowana do „Metropolitan Opera House" w Nowym Jorku, utrzy-

(Ciąg dalszy na str. 30-ej).



Na prawo: Jan Kiepura i Gladys Swarthout, śpiewaczka „Metropolitan House" w Nowym Jorku — w filmie Paramounta pt. „Pieśń miłości".

skrzydlaty mistrz koloratury



Kanarek nagrodzony złotym medalem na wystawie kanarków w roku 1932 w Warszawie

Dziwną jest historja kanarka, skrzydlatego trubadura miłości, więźnia złotych klatek: zawdzięczamy go właściwie dwom nieszczęściom — wojnie i katastrofie okrętu.

Kanarki żyły początkowo na Wyspach Kanaryjskich, pędząc w wiecznej wiośnie rajskiego klimatu tych „wysp szczęśliwych" idyliczny żywot. Gdy w r. 1496 zwycięscy konkwistadorzy hiszpańscy po kilkuletniej walce zdobyli ten zapomniany zakątek raju, wśród łupów, które wywieźli z podbitego kraiku na jednem z pierwszych miejsc wymieniano małe zielonkawe ptaszki, umiejące kaskadą perlistych tonów chwycić za serca nawet tych krwiożerczych poszukiwczy złota.

Wkrótce też kanarek stał się tak modny, że sprzedawano go na wagę złota, a szczególnie średniowieczne elegantki hiszpańskie nie mogły się obejść bez tej oznaki przepychu i bogactwa.

Rychło zorjentowali się Hiszpanie, że kanarki dla swej atrakcyjności mogą stanowić znakomity przedmiot handlu, dlatego też dla zmonopolizowania go w swoich rękach wydali ustawę, mocą której nie wolno było sprzedawać samiczek obywatelom obcych państw. Hiszpanie, którzy nauczyli się hodowli kanarka od mieszkańców Wysp Kanaryjskich — Guanczów, zaczęli chów tych ptasząt na wielką skalę, w czem celowały szczególnie możne klasztory.

I byliby Hiszpanie długo jeszcze z poza Pirenejów strzegli matek kanarczego rodu, gdyby nie przypadek. Oto pewnego razu okręt, który płynął do Hiszpanji, wioząc prócz innego towaru żywy ładunek ptasich tenorów, rozbił się na rafie włoskiego brzegu, a uwolnione ptaki lecąc przy sprzyjającym wschodnim wietrze przyleciały na wyspę Elbę, gdzie znalazły sobie znakomite warunki życia.

Rychło i dzieci słonecznej Italji zaczęły ciągnąć zyski z tego śpiewającego ptactwa. Potomkowie władców starożytnego Rzymu odrazu całkowicie pogrzebali hiszpański monopol kanarkowy, sprzedając zarówno płeć śpiewającą, jak i ciche matki ptasiego rodu, szczególnie do Tyrolu, skąd śpiewająca rzesza rozpowszechniła się w wioskach Czarnego Lasu i Gór Harcu. Jest to najważniejszy etap w hodowli tego muzykalnego ptaka. Spokojne miejscowości górskie, „zabite deskami", zamieszkane przez zamiłowanych hodowców, nadawały się szczególnie do racjonalnej hodowli, polegającej na metodach selekcji i uszlachetniania drogą doboru osobników, z rodów odznaczających się znakomitym śpiewem.

Olbrzymia centrala hodowli powstała pod koniec XVIII-go wieku w małej mieścinie północnego Tyrolu — I m s t, gdzie stworzono towarzystwo, wysyłające co roku specjalnych emisarjuszy, skupujących po okresie kanarczych lęgów młode ptaki, które po odpowiedniem przeszkoleniu sprzedawano na cały świat, szczególnie zaś do Rosji, Egiptu i Konstantynopola, skąd znów na cały Bliski i Daleki Wschód. Dużo też wywożono do Wielkiej Brytanji. Corocznie około 1600 sztuk sprzedawano po 15 szylingów.

Przez długie jeszcze lata od zdobycia Wysp Kanaryjskich kanarki nie były rozpowszechnione w Europie. Pierwszy z pisarzy z końca XIX-go wieku, który omawia sprawę kanarka — K o n r a d G e s s e r opisuje tego ptaka nie na podstawie autopsji, ale kierując się opisem swego przyjaciela, który... znał człowieka, posiadającego rzadkiego wówczas kanarka!

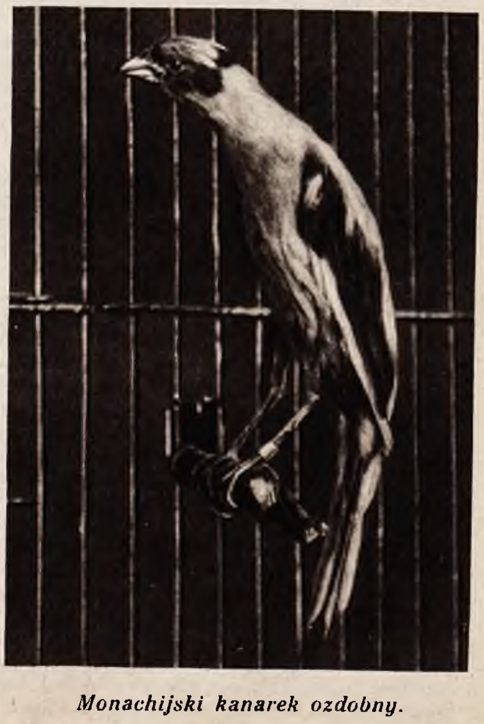
Kanarek w okresie kilkusetletniej niewoli uległ wielu przemianom. Zielone ubarwienie pierzastej jego szaty, które można jeszcze podziwiać u resztek dzikich śpiewaków, albo na starych obrazach hiszpańskich, ustąpiło żółtawemu „kanarkowemu" kolorowi.

Śpiew dzikiego kanarka, jakkolwiek naturalniejszy i żywszy, świeższy, miększy i pełniejszy od pieśni wychowanka szkoły harceńskiej, zyskał jednak dzięki odpowiedniej szkole i kulturze wiele tonów w swej przebogatej skali, a stracił też dużo niepożądanych tur. Zmiana koloru nastąpiła wskutek udomowienia. Już w trzeciem pokoleniu żółkną zielone kanarki, jak liście zważone jesienią. Podobny fakt zachodzi zresztą i u popularnych ptaków ozdobnych — zielonych papużek australijskich, które przybierają w niewoli całą gamę kolorów, zmieniając swój strój na żółty, błękitny, a nawet biały.

„Cukierkowe ptaszki" — jak nazywano początkowo kanarki — zmieniły się bardzo od czasu hiszpańskiego monopolu. Zależnie od zamiłowań hodowla poszła w rozmaitych kierunkach, nieraz wręcz biegunowo przeciwnych. Holendrzy wyczarowali ze skromnej postaci ptasiego trubadura wspaniałą postać ozdobnego ptaka o kędzierzawych loczkach, z których skrzydlaci eleganci mają zrobione wdzięczne żabociki, podobnie jak głębie zwane kapucynami, a niektóre odmiany posiadają jeszcze na barkach ozdoby, przypominające epolety carskich oficerów. Ptaki takie, charakteryzujące się wygiętą jak łuk postacią, nie mają szczególnych uzdolnień śpiewackich, dobierane są zresztą dla względów zewnętrznej prezencji i powierzchowności.

Anglicy — mistrzowie hodowli — uzyskali szereg bardzo oryginalnych ras, starając się wytworzyć egzemplarze, w których zbiegają się dwa elementy dekoracyjne: kształt i barwa. Toteż ich kanarki, jakkolwiek nie zalecające się specjalną kulturą głosu, są jednak dowodem, co może zdziałać umiejętnie zorganizowana hodowla. Niektóre z nich jak Y o r k s h i r y i N o r w i k i dla osiągnięcia intensywniejszych kolorów muszą być karmione mieszaniną, do której dodaje się najlepszego, świeżego pieprzu z K a j e n n y, piękny zaś ptak londyński L e z a r d szczyci się upierzeniem, przypominającem łuski jaszczurcze. Wiele gatunków, a między niemi także „pieprzowe" i „jaszczurkowe" odznacza się piękną czapeczką, przypominającą imponujące czaka królewskich gwardzistów.

Najskromniejszy z tych wszystkich ptaków jest k a n a r e k h a r c e ń s k i hodowany wyłącznie dla pięknego śpiewu. Stworzono nawet specjalne szkoły ptasiego śpiewu, gdzie młodzi adepci tej szlachetnej sztuki



Monachijski kanarek ozdobny.



Gniazdo z jajeczkami kanarków.

kształcą swoje gardziolka, specjalizując się w poszczególnych arjach, według przepisów słynnego teoretyka kanarczego śpiewu — M ü l l e r a.

Polacy przyjęli kierunek niemiecki, zwracając główną uwagę na śpiew, z całkowitem niemal pominięciem względów dekoracyjnych. Najbardziej ceniony jest bowiem ptak, który na ptasim konkursie śpiewu zajmuje dobre miejsca, choćby był skromnie ubarwiony i szary jak wróbelek. Polacy, wykształceni na romantyźmie słowiczego śpiewu, widzą w kanarku jedynie fenomenalnego śpiewaka, który potrafi niezmordowanie śpiewać „sobie a Muzom".

Śpiew kanarka jest pieśnią miłosną, którą na Wyspach Kanaryjskich nuci romantyczny samczyk przez 9 miesięcy w roku, gnieżdżąc się na przybrzeżnych drzewach leśnych, a najchętniej na samotnie stojących cyprysach. Podczas gdy samiczka wysiaduje jajka, samczyk zadziwia ją swoim śpiewem, siedząc na czubku najbliższego drzewa i umilając jej obowiązki macierzyństwa. Podobnie dzieje się i w stanie udomowienia. Z nadejściem wiosny, od marca do połowy kwietnia, ptaszki stają się niespokojne, nie mogąc usiedzieć na jednem miejscu, samczyki wzmacniają nasilenie swego uwodzicielskiego głosu, samiczki zaś krzątają się kokieteryjnie, wykazując chęć założenia sobie gniazdeczka, porywając z wdziękiem słomki i niteczki.

Jakkolwiek samczyk może żyć w poligamji, jest jednak wierny swej małżonce, tak zresztą długo, dopóki ta nie zacznie znosić jajek, poczem dopiero zauważa łaskawie piękność innych hurys swego haremu. Pan złotej klatki jest również bardzo czułym ojcem, karmiąc jednak tylko dzieci swojej pierwszej małżonki. Ciekawem jest jednak, że mimo jego pomocy młode ptaszki, wychowane przez mniej uprzywilejowane matki, są silniejsze i bardziej w hodowli wartościowe.

Normalnie podaje się samiczce gotowe gniazdko, które ona przystosowuje do wymagań ptasiego budownictwa. Zwykle po 8-miu miodowych dniach znosi samiczka pierwsze jajko, a później codzień o godzinie 6-tej rano zwiększa się ich ilość o jedno, przeważnie do 5-ciu.

Następne fakty następują szybko po sobie. 13—14 dni wysiadywania przynosi w rezultacie wygrzanie maleńkich nagich piskląt, które szybko rosnąc mogą po dalszych dwóch tygodniach opuścić gniazdko, a miesięczne potomstwo jest już samodzielne i jada „na własną rękę". Po odłączeniu dzieci od rodziców przenosi się je do większych klatek, by mogły się swobodnie wylatać i należycie wytrenować. Ten okres szkoły lotniczej jest przeważnie jedyną sposobnością użycia ruchu, później bowiem, po opierzeniu, zapisuje się absolwentów szkoły lotniczej do ptasiej akademji śpiewu.

Nauka odbywa się pod kierunkiem doskonałego, nauczyciela, którego główna zasada dydaktyczna streszcza się do słów „róbcie to, co i ja". Nauczycielem jest przeważnie ojciec, gdyż dzięki dziedziczności rodzaju śpiewu najłatwiej od niego uczą się dzieci zawiłych harkanów ptasiej koloratury.

Młody uczeń, zamknięty wraz z innymi na okres szkolny w małych oddzielnych klatkach, ustawionych na sobie w kształcie szafki, zaprawia się do swego przyszłego zawodu, wsłuchując się w pienia doświadczonego kanarka-turkota. Z początku młody kanarek, który za wrodzonym popędem już nieraz przedtem próbował nieudolnie zaśpiewać tradycyjną pieśń miłosną kanarków, jest oszołomiony kunsztem i techniką śpiewu swego nauczyciela. Przez kilka dni uczniowie nie mają poprostu odwagi wydobyć z siebie głosu. Powoli jednak nabierają śmiałości i zaufania we własne siły, i współzawodnictwo tak z nauczycielem, jak i z szkolnymi kolegami doprowadza przy odpowiednich metodach dydaktycznych i przy odpowiedniem żywieniu do cennej umiejętności wytrzymywania i zmiany poszczególnych tur śpiewackich.

Młody, a zdolny śpiewak opanowuje już w 6-ciu tygodniach całokształt kanarkowych aryj, stając się w niektórych ulubionych turach nawet specjalistą.

Umiejętność odróżniania śpiewu poprawnego od wadliwego jest już sama w sobie sztuką i wymaga wiele lat pracy i zamiłowania. Trzeba być nielada „specem", by zorjentować się w całem bogactwie poszczególnych tonów, ich zmianach, przejściach i prawidłowych łączeniach, by wyznać się w „timbre", czy modulacji kanarczego śpiewu. A umiejętność ta jest dla hodowcy konieczna. Gdy bowiem kanarek-ojciec jest nauczycielem swoich ptaszków, to hodowca jest wizytatorem ptasiej szkoły, poprawiającym źle wyśpiewane zadania. Stara się on usunąć przedewszystkiem błędy.

Na szkolnym indeksie są przedewszystkiem ćwierkania i piski, głośne wabienie się i ostre gwizdy niegrzecznych uczniów, jak również twarde, brzydkie tony, przypominające nakręcanie ściennego zegara, które zamienia pomiędzy sobą nieuważająca podczas nauki skrzydlata czereda. Bardzo często młody uczeń, zwiedziony na manowce przez byle jaką przyczynę, wykazuje wymienione błędy. Kanarek bardzo chętnie naśladuje wszelkie usłyszane głosy i z uporem małego ptasiego dziecka lubi je powtarzać. Często zły przykład wróbli — „ptaków z ulicy", czy świerszcza, pianie króla podwórka, a nawet skrzypienie drzwi mogą być powtarzane z uporem godnym lepszej sprawy.

Gdy więc inspektor-hodowca zauważy te brzydkie wpływy i wady głosu, przystępuje natychmiast do stosowania sankcyj. Najpierw skazuje niesfornego ptaszka na niezbyt zresztą ciężką ciemnicę, przysłaniając jego klatkę, przez co zmusza młodego zuchwalca do zastanawiania się nad niestosownością jego wybryków.

Skruszony ptaszek żałuje ostentacyjnie swoich brzydkich postępków, smutnieje i przestaje śpiewać, ale zato słucha więcej nauczyciela, zapominając brzydkich wyrazów ptasiej mowy. Gdy to nastąpi, karę łagodzi amnestja, a ptaszek po kilkudniowej ciemnicy śpiewa już bezbłędnie.

Dr med. wet. Mieczysław Cena.

W większych hodowlach kanarków oddziela się trzy razy do roku samiczki od ich śpiewających małżonków, aby miały należyty spokój tuż przed rozpoczęciem obowiązków macierzyńskich.



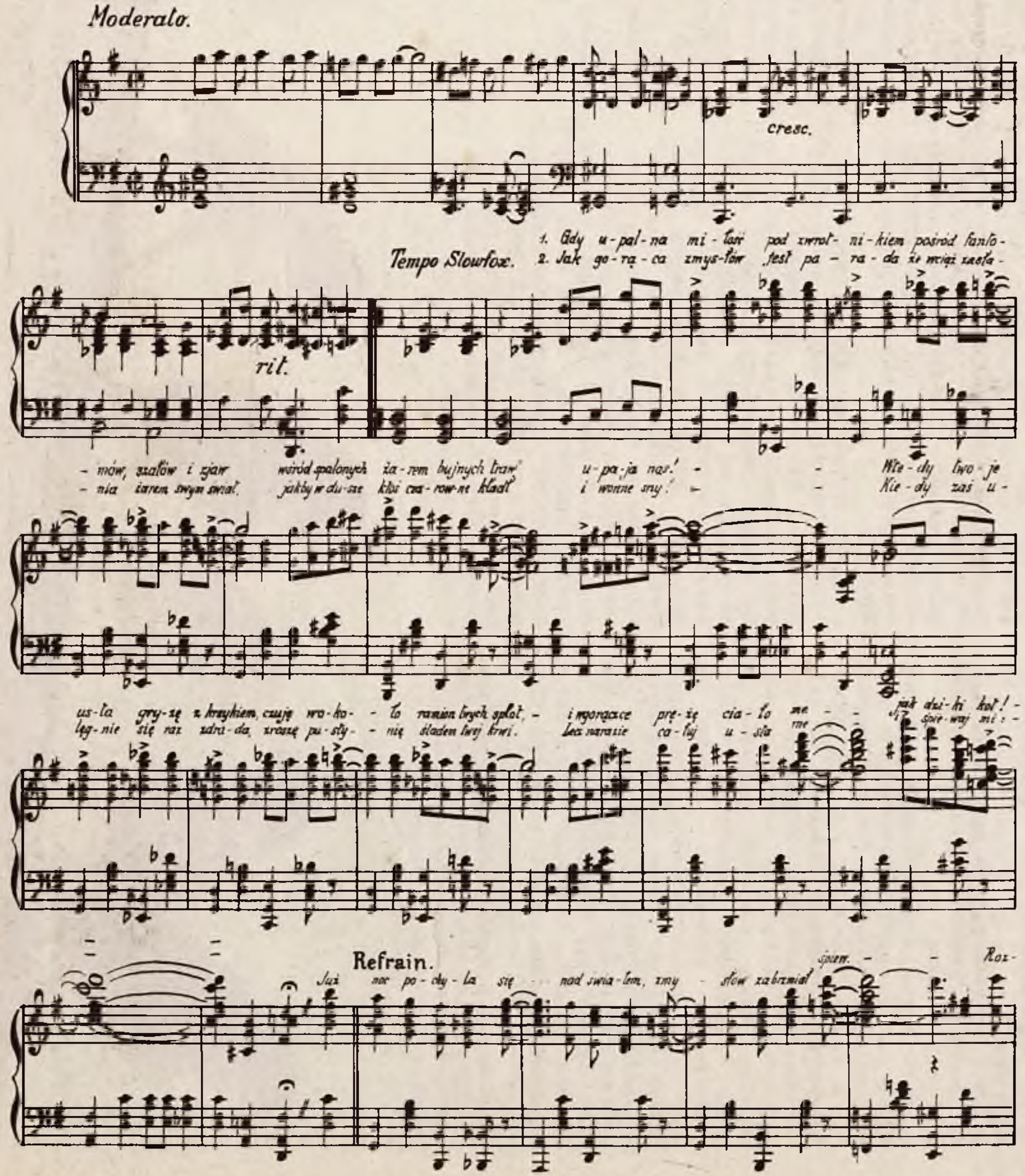
NASZ PRZEBÓJ MUZYCZNY

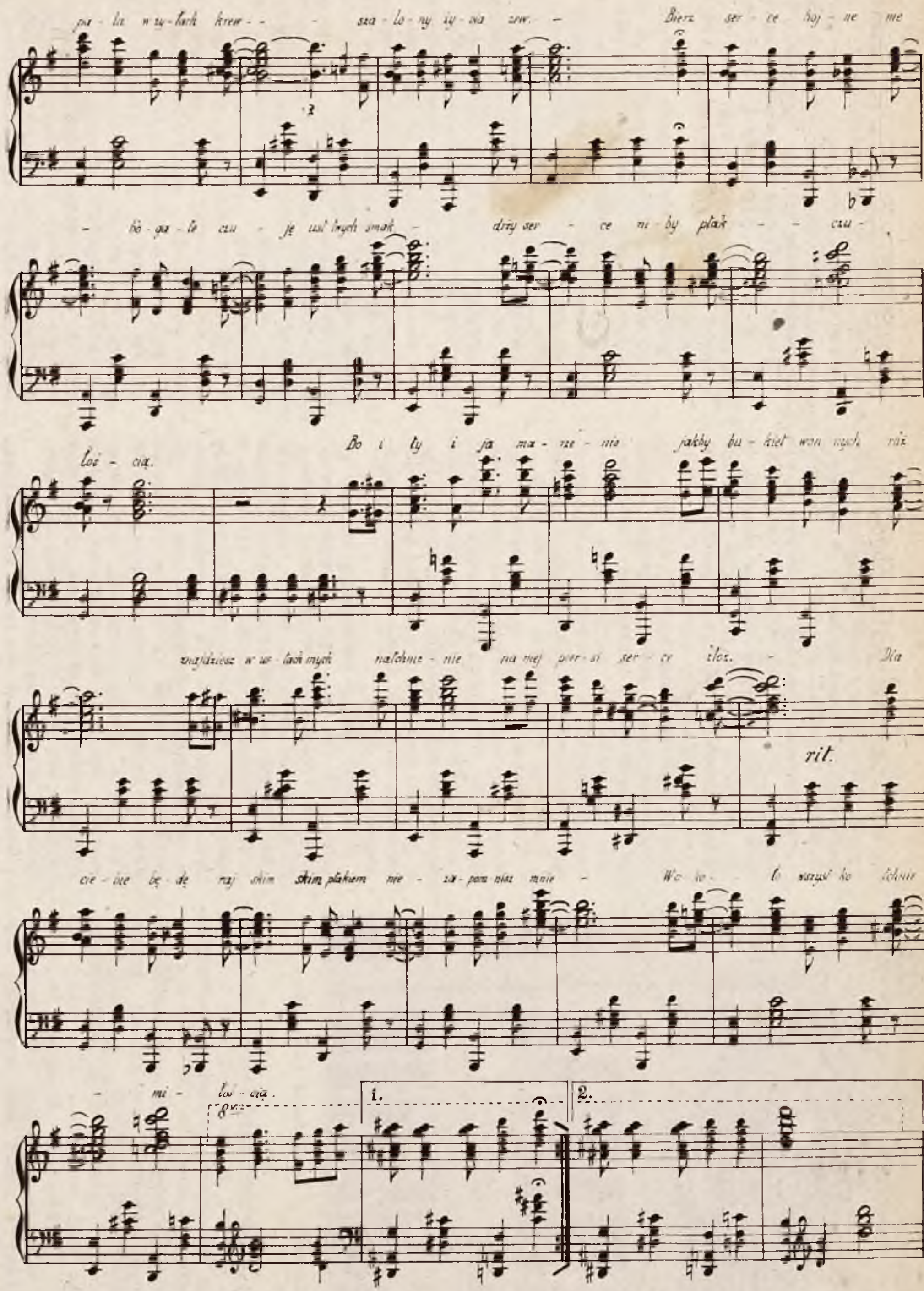
MIŁOŚĆ POD ZWROTNIKIEM

Piosenka z rewji „Ras kuksa w Negusynię"

Słowa ANATOLA KRAKOWIECKIEGO

Muzyka JULJUSZA LEO





NA WYSPIE BALI...
Mieszkanki egzotycznej krainy przy ubijaniu ry[illegible]a. (Fot. E. Hoppé, Londyn).





Przekrojona na czworo serwolatka, rzucona na rozpalone masło, tworzy doskonałe do dekoracji półmisków kółeczka.

Przygotowujemy Święcone

Mając dom przygotowany na radosny dzień Pańskiego Zmartwychwstania, zajmiemy się stołem świątecznym.

Ustawiamy na stole półmiski ze zręcznie pokrajanemi daniami mięsnemi, przybranemi zielenią bukszpanu, borówek lub barwinku; w środku, na postumencie z rzeżuchy, stawiamy baranka. Ważne miejsce zajmuje też ładnie upieczona babka.

Gdyby nam się przypadkiem babka podpaliła, trzeba ją zupełnie ostudzić, a następnego dnia ścierać na delikatnej tarce części przypalone. Babkę ulukrować, albo suto posypać miałkim cukrem, a w smaku nie pozostanie śladu ze spalenizny.

Aby babki nie prędko sczerstwiały, trzeba je delikatnie wyjąć bokiem na poduszkę, skoro tylko cokolwiek przestygną, posmarować grubo najlepszem, deserowem, surowem masłem, obsypać osianym cukrem-pudrem, włożyć z powrotem do ciepłych jeszcze form i postawić w spiżarni; tak zabezpieczone, długo utrzymają wilgoć.

Mazurki układa się gatunkami, pokrajane w równe kawałki, na kryształowych talerzach.

Do deseru używane są serwetki papierowe, dobrane do porcelany i koloru przeważającego w ubraniu stołu. O ile dajemy tort, powinien być położony na podstawie, przykrytej białą papierową serwetką.

Na stole stawiamy sałaty zielone, zimne sosy, chrzan, musztardę, ćwikłę, jaja na twardo, pokrajane w ćwiarteczki, ułożone w gwiazdę na okrągłym talerzu, przybrane gałązką zieloną, z dwoma widelczykami, do tradycyjnego dzielenia się ze współbiesiadnikami. Ustawiamy też wódki i inne napoje.

Mięsa trzeba krajać tylko w takiej ilości, którą można na raz spożyć, lepiej bowiem dokroić, niż zostawiać resztki pokrajane; gdyby jednak tak się zdarzyło, trzeba starannie złożyć plasterki jeden na drugi, zawinąć w kalkę, następnie w biały papier i przechować w chłodnem miejscu. Pozostałych potraw nie trzyma się ani w sypialniach, ani tam, gdzie palą papierosy i cygara, nic bowiem tak nie szkodzi jedzeniu, jak dym. Krając wędlinę, trzeba napoczętą szynkę i kiełbasę nakryć kawałkami słoniny (im grubiej, tem lepiej), żeby je zabezpieczyć od wysychania i dostępu powietrza, następnie owinąć w kalkę i dobry glansowany papier. Ważnym jest wybór naczyń, odpowiednich do przechowania kwaśnych lub przyrządzonych z octem potraw, jak barszcz, bigos itp., które nie mogą stać w naczyniach miedzianych, mosiężnych, cynowych, niklowych, żelaznych, a nawet emaljowanych, zwłaszcza z odbitą polewą. Najlepiej przechowuje się wszystko w naczyniach porcelanowych, fajansowych i kamiennych.

Jajka, gotowane na twardo, często pękają, białko wypływa, przez co robią się niezdatne do obrania i podania do święconego. Dla uniknięcia tego, trzeba wodę, w której będziemy gotowali jaja, posolić, a skorupka stanie się odporniejsza.

Przystrajając półmiski zielenią, wolno czerpać tylko z dziedziny warzywno-jarzynowej, narażając się na kompromitację, jeżeli chciałybyśmy swój „zielony" polot rozszerzyć w kierunku bardziej poetycznego listowia.

Więc wolno nam sięgać po liście sałaty, po jarmuż, liście włoskiej kapusty (ciekawa dekoracja wszelkich sałatek majonezowych, galaret itp.), po natkę od pietruszki, zręcznie wykrawane medaljony pomarańczowo - ognistej marchwi; po wszelką jarzynkową siekaninę.

Radzę Paniom przyswoić sobie listki kapusty włoskiej, jako motyw dekoracyjny. Zblanżerowana („blanżerować" — znaczy gotować) króciutką chwilę we wrzącej wodzie (bez soli), daje się użyć dwojako, mianowicie z giętkiego środka liścia, biegnącego wzdłuż, można po wycięciu go, formować pałąki koszyczka; z liści całkowitych — sam koszyczek. Wypełniony sałatką z jarzyn, drobiu czy mięsa zimnego, będzie wyglądał prześlicznie. Boczne listki, oddzielone od środkowej żyły, użyjemy do udekorowania półmisków z galaretami, albo majonezami. Natka od pietruszki jest stosowną dekoracją półmisków z wszelkiemi kotlecikami, smażona — dopełnia wykwitnie wszelkie „pasztecikowe" dania. Siekanemi jarzynkami, korniszonami, rydzami i grzybami (marynowanemi) ubiera się galarety, majonezy; tutaj znajdują też zastosowanie różnokolorowe galaretki, krajane w drobniutką kosteczkę, kapary solone, oliwki.

Sałata — to najbogatszy z materjałów dekoracyjnych. Półmiski z drobiem, pieczystem, wszelkie mięsne zimne i gorące dania (prócz podawanych w sosie), poza tem majonezy, galarety, sałatki — żyją w jak najściślejszym sojuszu przyjacielskim z wyłuskanemi ze środka główki, misternie karbowanemi listkami sałaty.

M. S. S.

Wszystkie zdjęcia z pokazu „Śniadanie wielkanocne" w Związku Pań Domu w Krakowie.



Wędliny i zimne mięsa, podane w przybraniu z sałaty, rzodkiewki, jaj na twardo i ogórków, posypane siekanym auszpikiem.



Półmisek z filetami polędwicowemi na grzankach, podany z opiekanemi ziemniaczkami, pasztecikami i pieczarkami.



Bomba z jarzyn w auszpiku, przybrana kolorowym majonezem, sałatką, twardemi jajami, ogóreczkami i kółeczkami z serwolatek.

NASZ KONKURS NA WIELKANOCNY STÓŁ

Tradycyjnie zastawione stoły ze Święconem, nadesłane w fotografjach do Redakcji „Asa" powinny dać duży plon. Żadna z Pań Domu nie ominie zapewne sposobności, aby z jednej strony pochwalić się, a z drugiej zachęcić inne gospodynie do naśladownictwa.

Nadesłane zdjęcia będziemy reprodukowali w poświątecznych numerach „Asa", a jury konkursowe rozdzieli piękne nagrody z zakresu przedmiotów użytkowych w gospodarstwie domowem, których wykaz zamieścimy osobno.

Fotografja jest najcenniejszym dokumentem współczesności. Niechaj „stół wielkanocny" zachowany w tradycji do naszych czasów, pozostanie udokumentowany w oryginalnych zdjęciach, które na łamach naszego tygodnika dotrą do wszystkich polskich domów nietylko w kraju, ale i zagranicą, czyniąc skuteczną propagandę tracyjnego „Święconego" w następnych latach.



WIOSENNE
IGRASZKI KALENDARZA

Miesiąc marzec pożegnał nas z łezką deszczu w oku, przymglonem smutkiem rozstania. Odchodził od nas z żalem, by ustąpić miejsca swemu nieodłącznemu towarzyszowi kwietniowi, który jest jego bliźniakiem — miesiącem wiosny. Bo rzeczywiście, te dwa miesiące wprowadzają niejako wiosnę do salonu natury, utrzymującej dom otwarty dla wszelkich przejawów Życia.

Ponieważ wypada zrewanżować się marcowi za jego tkliwość pożegnania — nie od rzeczy będzie przypomnieć sobie pewne daty, złączone z jego egzystencją. I tak przedewszystkem musimy sobie przypomnieć, że był on swego czasu pierwszym miesiącem roku, a mianowicie w starożytnym kalendarzu przed rokiem 45 przed Chr. — kiedy to wszechwładny Cezar zdegradował go do... zajęcia trzeciego miejsca w hierarchji kalendarzowej. Ale marzec szybko się pocieszył, stał się bowiem w zwyczajach ludowych miesiącem o niepośledniem znaczeniu. Został desygnowany na stanowisko pierwszego miesiąca Wiosenki i dzierży je dotychczas niepodzielnie.

W wielu krajach i miejscowościach (niemieckich zwłaszcza, gdzie istnieje specjalny pęd do zbiorowych zabaw i uroczystości ludowych) urządza się rokrocznie święto wiosny pod nazwą święta marcowego. Młodzież przeciąga w wesołych pochodach, „wypędzając zimę“, lub też topiąc kukłę słomianą wyobrażającą Panią Mrozu — co ma być czarodziejskim obrządkiem, zabezpieczającym przed niepłodnością Matki-Ziemi, ochronnym czarem zasiewów. Innem świętem wiosny jest dzień św. Grzegorza (12 marca), który rozpoczyna roboty ziemne na roli. W wielu miejscowościach Europy święto to łączy się z pochodami i śpiewami okolicznościowemi. U nas dzień ów jest upamiętniony nadto znanem ludowem przysłowiem: „w dzień św. Grzegorza, wody idą do morza“ — co jest oznaką odwilży i szybkiego nadejścia pory ciepłej.

W niektórych okolicach roboty rolne rozpoczyna się w dniu św. Gertrudy (17 marca), co także nie jest pozbawione odpowiednich obrządków. Ciekawy również obyczaj panuje w wielu miejscowościach Niemiec. Oto w dniu 19 marca, poświęconym św. Józefowi, obchodzi się tam uroczyście w wesołych, gwarnych pochodach „zakończenie pracy przy świetle“. Dnie następne będą już o tyle dłuższe, że nie będzie potrzeba kończyć pracy przy świecy, czy też lampie.

Wkońcu dzień Zwiastowania Najświętszej Panny Marji, 25 marca, jest związany z jeszcze innemi uroczystościami wiosennemi, jak „wypędzanie śmierci“, pochody i pieśni błagalne o pogodę, szczęśliwy zasiew, dobre zbiory itp.

Pożegnawszy się w ten sposób comme il faut z marcem — możemy z czystem dżentelmeńskiem sumieniem przystąpić do powitania kwietnia. Jest to miesiąc o niezwykle ujmującym wyglądzie, na co już sama jego nazwa wskazuje. Drugi z rzędu w przedjuljańskim kalendarzu, rozpoczynał w nim porę wiosenną i liczył sobie wtedy... 29 dni. Przez reformę kalendarza przesunięty na miejsce czwarte, dostał w nagrodę zato o jeden dzień więcej, z czego jak dotychczas, wydaje się być wcale zadowolonym.



Fotoreporterzy uwieczniają na płycie efemeryczną boginię Prima Aprilis.

Kwiecień jest miesiącem szczególnym we wielu krajach świata. I tak pierwszy jego dzień jest ogólnie uważany za nieszczęśliwy — ponieważ w dniu tym, jak mówią legendy, miał się urodzić Judasz, wedle zaś innych wersyj, miał także w dniu tym skończyć samobójstwem. Prócz tego istnieje w wielu krajach, między innymi i w Polsce, zwyczaj — wedle którego w dniu 1 kwietnia zwodzi się przeróżnemi żarcikami znajomych, krewnych, przyjaciół, a nawet napotkanych przechodniów. Różnie to w różnych krajach nazywają: w Polsce „zwodzeniem“ lub „wodzeniem za nos“, stosując przytem różne okolicznościowe wierszyki, jak np.:

„Prima aprilis,
Nie wierz, bo się omylisz,
A jak się omylisz — to nic nie szkodzi,
Kto kogo kocha, ten tego zwodzi“... itp.

W Niemczech mówi się o zrobieniu z kogoś „kwietniowego głupka“ (umyślnie użyłem tu słowa: „głupek“, oddaje ono bowiem lepiej i ściślej chwilowe „zamroczenie“ zwiedzionego), jemanden zum Aprilnarren machen, in den April schicken, — w Anglji „to hunt the gowk“, co od biedy można przetłumaczyć przez: „zrobić z kogoś gapę“. — Danja ma również na „obrządki pierwszokwietniowe“ specjalne nazwy: „wise en April“, lub „loebe April“, — we Francji wreszcie mówi się o „poisson d'avril“, czyli rybie kwietniowej.

Żarciki i psoty robione w tym dniu polegają na daniu komuś jakiegoś niemożliwego do przeprowadzenia polecenia, na wysyłaniu kogoś do nieistniejącej osoby, lub też nawet na bardziej skomplikowanej intrydze, dowcipnie nota bene obmyślanej.

Pochodzenie tego zwyczaju nie jest dotychczas definitywnie wyjaśnione. Wedle pewnych źródeł — ma on symbolizować kapryśną zmienność kwietniowej aury, wedle innych znów — początków jego należałoby szukać jeszcze w Rzymie starożytnym. Dość rozpowszechnionym jest również pogląd, że zwyczaje owe wzięły asumpt z uroczystości pasyjnych, obchodzonych w średniowieczu w pierwszych dniach kwietnia. Niepotrzebne wodzenie Chrystusa od Annasza do Kaifasza, od Heroda do Piłata itd., naśladuje się obecnie wśród ludu w formie przeróżnych, nie mających konkretnych podstaw poleceniach, wodzeniach i zwodzeniach. Jeszcze inne wyjaśnienie doszukuje się początków tych „obrzędów“ ludowych w święcie hinduskiem „huli“, obchodzonem od pradawnych czasów w dniu 31 marca każdego roku. Tam także podczas święta tego „udziela się“ wszelkiego rodzaju fantastycznych poleceń i zwodzi się bliźnich na potęgę, gwoli uciesze licznych uczestników żartów.

Jednem słowem, reasumując to wszystko cośmy wyżej powiedzieli — widzimy, że kwiecień wdał się całkowicie do swej mateczki-Wiosny, jest równie zmienny i kapryśny, jak ona, objawiając już w swym pierwszym dniu przeróżne, całkiem nieoczekiwane figielki. Nie posiada nawet szacunku odpowiedniego dla swej wiośnianej matki, przebierając ją niejednokrotnie wbrew jej woli w białe, zimowe szaty. Toteż niema może trafniejszego określenia zmienności Pana Kwietnia od znanego polskiego przysłowia:

Kwiecień-plecień, wciąż przeplata,
Trochę zimy, trochę lata...
Patrzcie Państwo, nawet i lata...

Adam Cyprian.





Ofiara primaaprilisowa, która dała się „nabrać“.

ŻYCIE ARTYSTYCZNE

NOWA GWIAZDA POLSKIEGO FILMU



Film dźwiękowy jest przedewszystkiem domeną artystów, obdarzonych pięknym głosem i nieprzeciętną urodą. W pogoni za nowemi gwiazdami zagląda on coraz częściej na deski teatrów muzycznych i z nich sprowadza przed objektyw szereg nowych talentów. Powoli i u nas wyrabia się wśród sfer filmowych opinja, że kulisy opery, operetki i rewji kryją często przyszłe gwiazdy naszego dźwiękowca. Po udanych występach na ekranie Lucyny Szczepańskiej przyszła kolej na utalentowaną śpiewaczkę opery warszawskiej p. Haline Poraj - Biernacką, którą wkrótce ujrzymy w filmach krajowych produkcyj. Fot. Van Dyck Warszawa.

PRELUDJUM CHOPINA



Przed kilku dniami odbył się w Krakowie wieczór klasycznego tańca, na którym wystąpiła jako solistka p. Marja Mikuszewska, prowadząca w tut. Konserwatorjum Muzycznem klasę rytmiki. Na zdjęciu: Preludjum Chopina w wykonaniu p. Mikuszewskiej.

IRENA JEDYŃSKA



Na lewo: Prawdziwą ozdobą bydgoskiej operetki jest primabalerina Irena Jedyńska, wykonawczyni walca w operetce „Zuza". Fot. „Wenus" Bydgoszcz.

SZTUKA T. KONCZYŃSKIEGO w POZNANIU



Na prawo: Teatr Polski w Poznaniu wystawił starannie sztukę Tadeusza Konczyńskiego p. t. „Zburzenie Jerozolimy". Na zdjęciu jedna ze scen z udziałem (od lewej) p. Glińskiego (Tyberjusz), p. Wrońskiego (Flawjusz) i p. Kierczyńskiego (Agrypa).

(Ciąg dalszy ze str. 23-ej).

muje się jako jedna z najbardziej kasowych gwiazd. To też pobierane przez nią honorarja stają się solą w oku niejednej wielkiej śpiewaczki. Sławę swą zawdzięcza przedewszystkiem wyjątkowej technice koloraturowej, która uczyniła z niej najlepszą wykonawczynię partji Gildy w Rigolecie. W roku 1930 porzuca na zawsze operę i poświęca się estradzie, koncertując z wielkiem powodzeniem we wszystkich częściach świata. Znana była w Metropolitan ze swego kapryśnego usposobienia, które niejednokrotnie zmuszało dyrekcję teatru do utrzymywania dyżurów lekarskich w jej garderobie.

Wspomniana wyżej Lily Pons, spadkobierczyni sławy i umiejętności śpiewaczych Amelity, urodziła się w roku 1905 w Cannes na francuskiej Riwierze. Powodzenie artystyczne zdobyła bardzo szybko. Dziś liczy niespełna 32 lata ,a jest już po kilku sezonach w Metropolitan. Należy ona do tych wyjątkowych artystek, które swój niezwykły talent śpiewaczy potrafią odpowiednio sprzedać. Niespotykana technika koloraturowa, poparta niezwykłym wdziękiem i urodą śpiewaczki, przyniosła jej największe sukcesy na tournee po Ameryce Południowej, gdzie za jeden koncert otrzymywała 18 tysięcy pezów argentyńskich (25.000 złotych). Zatarg z władzami celnemi i nieustępliwość artystki w żądaniu olbrzymich honorarjów rozpętała w r. 1934 prawdziwą burzę w prasie argentyńskiej, a publiczność zgromadzona przed teatrem w Montevideo zagroziła wysadzeniem gmachu w powietrze, jeżeli dyrekcja nie odwoła występu Lily Pons. Od tej chwili datuje się niechęć artystki do występów w Południowej Ameryce. Po raz drugi nazwisko Lily Pons dostało się na łamy sensacyjnej prasy w związku z jej romansem, jaki nawiązała z lekarzem okrętowym na „Cap Arcona". w przejeździe z Buenos Aires do Paryża.

Marja Jeritza, urodzona w Bernie na Morawach w r. 1894, przez dłuższy czas była lokalną sławą Wiednia, gdzie występowała w operze cesarskiej. Dopiero debiut artystki w Metropolitan w r. 1921 w partji Marietty opery Korngolda „Umarłe miasto", spowodował, że jej nazwisko zaczęły notować giełdy artystyczne świata po najwyższym kursie. Będąc ulubienicą wielkiego Pucciniego, który przeznaczył ją na wykonawczynię partji tytułowej w „Turandot" na światowej premjerze w Metropolitan, wystudjowała idealnie partję „Tosci", odnosząc w niej nienotowane dotąd sukcesy. Przed kilku laty artystka pokusiła się o zdobycie nowych laurów, występując w roli bizetowskiej Carmen. Próba się jednak nie powiodła.

Z Amerykanek tylko Grace Moore może poszczycić się olśniewającą karjerą artystyczną. Urodzona w stanie Tennesee rozpoczyna ją jako girl w jednej z rewij muzycznych Nowego Jorku. Już po dwóch latach widzimy ją jako solistkę w „Music Box Revue" na Braodwayu, w której śpiewa kilka przebojowych piosenek. W momencie, gdy jej sława jako gwiazdy rewjowej zaczynała się ustalać, Grace przerywa nagle występy i wyjeżdża na studja do Francji. W r. 1929 debiutuje już w „Opera Comique" w Paryżu, a w rok potem uprowadzona przez amerykańskich managerów, ląduje wśród burzy oklasków i powodzi kwiatów na premjerze „Boheme" w Metropolitan. Jej Mimi stała się od owego pamiętnego występu wzorem dla wielu słynnych śpiewaczek. Od tej chwili sława Grace Moore jest ustalona. Po występach na deskach operowych przychodzi kolej na estrady koncertowe, które przynoszą artystce zawrotne honorarja. Nie rezygnuje z niej naturalnie i film dźwiękowy. Zaraz pierwszy obraz „The New Moon", w którym wystąpiła razem z Lawrence Tibbettem, przyjęła cała Ameryka z entuzjazmem. Koroną karjery Grace Moore stało się jej małżeństwo z pewnym markizem hiszpańskim.

(Dokończenie na str. 38 -ej).



Opowieść z epoki kamiennej

4-ty ODCINEK.

H. G. WELLS | **PRZEKŁAD W. de RICHE** | **ILUSTR. CHARLIE**

Jedyną bronią człowieka były przecież naówczas źle obrobione, ostre krzemienie, które rzucał niezbyt zręcznie i nędzne oszczepy z zaostrzonego drzewa. Czyż nie mógł wystąpić z niemi śmiało przeciw kopytom, rogom, zębom i pazurom?

Andu, ogromny niedźwiedź jaskiniowy, który zamieszkiwał pieczarę w górnej części wąwozu, nie widział nigdy człowieka w całem swojem mądrem i zasługującem na szacunek bytowaniu. Dopiero pewnej nocy, kiedy spoglądał wdół ze szczytu skały, ujrzał blask ogniska Eudeny na półce skalnej, Eudenę czerwoną i świecącą i Ugh-lomiego — z olbrzymim cieniem, przedrzeźniającym się mu, na białej skale — jak spacerował, wstrząsając wielką czupryną i wymachując kamienną siekierą, pierwszą siekierą kamienną, w czasie swego śpiewu o śmierci Uyi. Niedźwiedź jaskiniowy był dość daleko i widział te istotki bardzo niewyraźnie. Był tak zdziwiony, że stał chwilę bez ruchu, węsząc nieznany mu zapach płonących paproci i zastanawiając się nad tem, czy brzask nie rozpoczął się w złej stronie.

Był panem skał i jaskiń, jak jego brat, szary niedźwiedź, był panem lasów w dole i jak lew centkowany — w owym czasie lew miał centki — był panem kolczastych zarośli, gąszczów trzcinowych i równin. Był największym ze zwierząt mięsożernych; nie znał trwogi, nikt na niego nie polował i nikt z nim nie walczył; tylko nosorożec był od niego silniejszy. Nawet mamut unikał spotkania z nim. Ten najazd wprawił go w osłupienie. Zauważył, że te nowe zwierzęta były podobne do małp i skąpo porośnięte włosem, jak młode świnie. „Nie jest tak źle. Ale to czerwone, co skacze i to czarne, co skacze razem z nim! Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego!"

Podszedł nieco bliżej, zatrzymując się trzykrotnie, aby węszyć i przyglądnąć się. Dym ogniska był teraz gęstszy. Para hien, przyglądała się również temu widokowi z takiem zainteresowaniem, że stąpający cicho Andu wpadł na nie, zanim się wzajemnie spostrzegli. Umknęły zawstydzone, chowając ogon pod siebie. Zatoczywszy krąg w odległości stu yardów, zaczęły wyć i wzywać go, aby pomścił się za doznaną zniewagę. „Yaha!" wołały. — „Kto nie umie kopać nor? Kto żywi się korzonkami, jak świnia?... Ya-ha!", gdyż już w owych czasach zachowanie się hien pozostawiało wiele do życzenia.

— Kto zniża się do odpowiedzi hienom? — ryknął Andu, starając się przeniknąć mrok, w którym się kryły, a potem podszedł na brzeg urwiska.

Ughlomi opowiadał wciąż swoją historję. Ogień przygasł, ale od paleniska zalatywał dym i ciepłe powietrze.

Andu stał przez pewien czas nad przepaścią, przestępując z nogi na nogę, kiwając głową, z otwartym pyskiem, z wyprostowanemi i drgającemi uszami. Nozdrza jego wielkie, czarne paszczęki poruszały się, kiedy węszył. Był bardzo zaciekawiony, bardziej, aniżeli jakikolwiek niedźwiedź naszych czasów, a blask ognia i niezrozumiałe poruszenia człowieka, pominąwszy już jego wtargnięcie w okolicę, którą uważał bezwzględnie za sobie podległą, nauczyły go, że musi być przygotowany na niespodzianki. Wybrał się on tej nocy na polowanie na jelonka, gdyż niedźwiedź jaskiniowy lubiał zmianę, ale widok ten kazał mu zapomnieć o wyprawie.

— Ya-ha! — wyły za nim hieny. — Ya-ha-ha!

Andu zauważył, że było ich teraz trzy lub cztery. — Nie opuszczą mnie przez całą noc... dopóki nie zabiję — rzekł Andu. I aby je zniechęcić, postanowił przyglądać się czerwonemu migotaniu w wąwozie, dopóki świt nie zmusi bandę hien do powrotu do legowiska. Po pewnym czasie zniknęły, słyszał tylko ich głosy w bukowym lasku. Potem wróciły znowu. Andu ziewnął i pomaszerował wzdłuż urwiska, a one za nim. Potem zatrzymał się i zawrócił.

Noc była piękna, niebo usiane gwiazdami, temi samemi gwiazdami, ale nie w tych konstelacjach, które dziś znamy, gdyż od tego czasu wszystkie gwiazdy zmieniły położenie. Poza równiną, gdzie wałęsały się i wyły zgarbione, chude hieny, był las bukowy, ponad którym wznosiły się tajemnicze stoki gór aż do ich pokrytych śniegiem, białych, zimnych i jasnych wierzchołków, oświetlonych pierwszemi promieniami jeszcze niewidocznego księżyca. Panowała tam zupełna cisza, przerywana tylko zamierającym tutaj echem nieprzyjemnego wycia hien lub dalekiego trąbienia zdążających w te strony słoni. W dole, czerwone migotanie utrzymywało się stale, chociaż czerwień jego stała się ciemniejsza, Ughlomi skończył swoją historję i gotował się do snu, a Eudena siedziała, wsłuchując się w dziwne głosy nieznanych zwierząt i obserwując szarzejące na wschodzie niebo przed zjawieniem się księżyca. Jeszcze niżej rzeka mówiła coś do siebie, a jakieś niewidoczne istoty poruszały się w ciemności.

Po pewnym czasie niedźwiedź odszedł, ale wrócił za godzinę. Potem, jakby uderzony jakąś myślą, zawrócił i ruszył do wąwozu.

Noc mijała, a Ughlomi spał. Księżyc ukazał się na niebie i rzucił na strome skały wapienne w górze mdłe, blade światło. Wąwóz tonął w mroku, który wydawał się jeszcze gęstszy. Potem, stopniowo, w księżycową poświatę zaczął przenikać świt. Oczy Eudeny błądziły od ogniska do szczytu skały niestrudzenie. Linja brzegu urwiska zaznaczała się zawsze ostra i wyraźnie na tle nieba, a jednak instynkt mówił jej, że coś się tam czai. Czerwień ogniska stawała się coraz ciemniejsza, pojawiały się w niem szare smugi, środkowy słup dymu był coraz widoczniejszy, a w wąwozie przedmioty dotąd niewidoczne zaczęły się uwydatniać. Być może, że się zdrzemnęła.

Nagle podniosła głowę, którą trzymała opartą na kolanach, wyprostowała się i nadstawiła uszu, przyglądając się bacznie skalnemu urwisku.

Krzyknęła cicho, a Ughlomi, który miał lekki sen, jak zwierzę, zbudził się w jednej chwili. Chwycił za swoją siekierę i przysunął się do towarzyszki.

Światło było jeszcze niewyraźne, cały świat pogrążony w ciemnościach i ciemnej szarzyźnie, a nad ich głowami migotała jeszcze jedna blada gwiazda. Półka skalna, na której spali, była szeroką na jakie sześć stóp i długą

na stóp dwadzieścia. Porośnięta była trawą, a na krawędzi zielskiem. Poniżej niej, biała skała opadała stromem zboczem prawie na pięćdziesiąt stóp do leszczynowego gaju, który rósł po obu stronach rzeki. Wdrapanie się na półkę z tej strony było niepodobieństwem. Ponad głowami Ughlomiego i Eudeny znajdował się charakterystyczny dla wapiennych formacyj występ skalny na przestrzeni czterdziestu lub pięćdziesięciu stóp, ale do brzegu półki wiodła rozpadlina, na której ścianach znalazły oparcie nikłe krzewy, umożliwiające im wchodzenie i schodzenie.

Trwali bez ruchu, jak spłoszona zwierzyna. Przez minutę nic nie słyszeli, a potem do uszu ich doleciał trzask gałązek w rozpadlinie i chrzęst strącanych kamieni.

Ughlomi chwycił za siekierę i podszedł na brzeg półki skalnej, gdyż zwieszające się masy wapienia zakrywały górną część rozpadliny. I wtedy serce zamarło w nim ze strachu, gdyż ujrzał niedźwiedzia jaskiniowego w połowie drogi do ich schroniska, stawiającego ostrożnie płaskie, tylne łapy na krawędziach skał. Odwrócony był tyłem do Ughlomiego i czepiał się pazurami krzewów i kamieni tak, że wyglądał, jak przylepiony do skały. Od lśniącego pyska do krótkiego ogona był dwa razy dłuższy niż dorosły człowiek, a pół raza dłuższy od lwa. Oglądał się za siebie, pysk miał otwarty ze zmęczenia, a z pyska zwieszał się mu język...

Znalazł oparcie i spuścił się niżej.

— Niedźwiedź — rzekł Ugh-lomi, a twarz jego pobladła.

Ale Eudena, której wzrok wyrażał przemożny strach, wskazywała na zbocze.

Ugh-lomi otworzył usta. Daleko wdole, oparta łapami o skałę, stała niedźwiedzica. Nie dorównywała wielkością samcowi, ale była aż zanadto wielka.

Nagle Ugh-lomi krzyknął i chwyciwszy garść suchych paproci, które leżały na półce skalnej, rzucił je na popiół ogniska. — Bracie Ogniu! — wołał — Bracie Ogniu! — A Eudena, która zbudziła się z odrętwienia, uczyniła to samo. — Bracie Ogniu! Pomóż! Pomóż! Bracie Ogniu!

Brat Ogień miał jeszcze serce czerwone ale poszarzał, kiedy go przysypali. — Bracie Ogniu! — wołali. Zasyczał i zniknął... Pozostał tylko popiół. Ugh-lomi tańczył z wściekłości i bił w popiół pięściami. Ale Eudena zaczęła krzesać iskry kamieniem do rozniecania ognia. Oczy obojga zwracały się co chwilę w stronę rozpadliny, którędy schodził Andu. Brat Ogień!



Ugh-lomi chwycił za siekierę i podbiegł do niedźwiedzia...

Nagle ukazały się pokryte sierścią tylne łapy niedźwiedzia, osłonięte dotychczas przez występ skalny. Spuszczał się wdół po prawie prostopadłej skale. Głowy jego dotąd nie widzieli, słyszeli jednak, jak mówi do siebie. — Świnia i małpa. To będzie dobre.

Eudena skrzesała iskrę i zaczęła dmuchać; zabłysła żywiej, ale zgasła. Wtedy rzuciła kamień i zaczęła wdrapywać się po skale ponad półką. Utrzymywała się jednak na prostopadłem zboczu tylko przez krótki czas, gdyż skała była zupełnie gładka. Potem spadła z pokrwawionemi palcami.

Ugh-lomi stracił głowę i biegał po skalnej półce, jak oszalały. Nie wiedział co robić, nie mógł myśleć. Niedźwiedzica była mniejsza, niż samiec — o wiele mniejsza. Gdyby spadli na nią razem, jedno z nich mogłoby ujść z życiem. — Uf? — zapytał Andu, a kiedy Ugh-lomi odwrócił się, ujrzał wpatrzone w niego małe oczka zwierzęcia.

Eudena, leżąca na krawędzi półki skalnej, zaczęła kwiczeć, jak królik.

Wtedy Ugh-lomi wpadł w szał. Z głośnym okrzykiem, chwycił za siekierę i pobiegł do niedźwiedzia. Potwór mruknął, zdziwiony. W jednej chwili Ugh-lomi chwycił się ręką za krzak poniżej zwierzęcia, przywarł do do jego pokrytego sierścią cielska i chwycił je drugą ręką w okolicy szczęki. Niedźwiedź był tak zdziwiony tym fantastycznym atakiem, że przez chwilę nie poruszał się. A potem siekiera, pierwsza z wszystkich siekier, spadła na jego głowę.

Andu wydał żałosny ryk i zaczął przechylać głowę to w jedną, to w drugą stronę. Siekiera ugodziła go obok lewego oka, a ciepła krew oślepiła go z tej strony. Potwór ryknął jeszcze raz z gniewu i zdziwienia i jego zęby kłapnęły tuż obok twarzy Ugh-lomiego. A potem siekiera spadła ciężko na szczękę zwierzęcia.

Następny cios oślepił je z prawej strony i wywołał tym razem ryk bolu. Eudena ujrzała, że płaskie, niezdarne łapy ślizgają się i szukają oparcia, a potem Andu skoczył wbok, jakby na półkę skalną. I teraz wszystko zniknęło, rozległ się trzask łamanej leszczyny, ryk bolu, krzyki i pomrukiwanie daleko, wdole.

Eudena wrzasnęła, podbiegła na brzeg urwiska i spojrzała w dolinę. Przez chwilę człowiek i zwierzęta tworzyli jeden kłąb, ale Ugh-lomi był na górze. Potem człowiek zerwał się na nogi i zaczął wdrapywać się na półkę skalną kominem, pozostawiając między leszczyną tarzające się i walczące z sobą niedźwiedzie. Ale zostawił nadole swoją siekierę, a z jego łydki spływały trzy cieniutkie strumyki krwi. — Na górę! — zawołał i Eudena spełniła rozkaz bezzwłocznie, wspinając się na szczyt urwiska.

Nie minęła minuta, a byli już na szczycie. Serca tłukły im się w piersiach, chociaż Andu i niedźwiedzica pozostali daleko wdole. Andu siedział na tylnych łapach, poruszając bezradnie przedniemi i usiłując usunąć ślepotę z oczu, a towarzyszka jego stała na czterech łapach w pewnej odległości i ryczała z gniewu. Ughlomi położył się na trawie, dysząc ciężko, z zakrwawioną twarzą i rękami.

(CIĄG DALSZY NASTĄPI).



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA Z SZYNKI Z RYŻEM. Ugotować litr rosołu z kości i jarzyn. 6 dkg ryżu sparzyć, następnie zalać 1/4 l wody i udusić na sypko. 15 dkg szynki (mogą być okrawki od kości) zemleć wraz z ryżem w młynku od mięsa, poczem utrzeć w misce, dodawszy 4 dkg masła. Całą masę rozprowadzić rosołem, podgrzać silnie i podać z grzankami, smażonemi na słoninie od szynki.

ŁAZANKI Z NALEŚNIKAMI DO ROSOŁU. 2 żółtka, 5 dkg mąki, łyżeczkę masła i troszkę mleka ubić na całkiem wolne ciasto, posolić i dodać pianę z pozostałych białek. Z ciasta tego wysmażyć parę naleśników, następnie pokrajać je w płatki i wrzucić do wazy z rosołem.

SOS „FRICASSÉE" DO RYB I DROBIU. Łyżkę mąki rozetrzeć z łyżką masła, rozprowadzić słodką śmietanką, dodać soli i soku z cytryny i zagotować. Rozetrzeć osobno 3 żółtka, zaciągnąć niemi sos, nie gotując więcej, wrzucić łyżkę siekanej pietruszki i oblać pokrajany biały drób lub rybę. Sos ten nadaje się również do potrawki cielęcej.

PASZTECIKI FRANCUSKIE Z MÓŻDŻKIEM LUB KIEŁBASĄ. W 1/4 l letniego mleka rozkłucić, 2 dkg drożdży i postawić w cieple. Osobno ubić 2 żółtka i 1 jaje, wlać do drożdży, dosypać szklankę mąki i wyrabiać na niezbyt tęgie ciasto tak długo, aż wystąpią na cieście pęcherzyki. Odstawione w ciepłe miejsce ma wyróść do podwójnej wysokości. Tymczasem bierzemy 20 dkg masła, wypłukanego i wygniatamy w serwecie, aby całą wilgoć z niego wydobyć, następnie wałkujemy je w serwecie na kwadrat, grubości palca. Wyrośnięte ciasto rozwałkować na stolnicy, włożyć na środek masło, wyjęte z serwety, złożyć brzegi ciasta tak, aby masło dobrze było nakryte wałkować zawsze w jedną stronę od siebie na długość. Złożyć potem w troje jak serwetę i zostawić w chłodzie przez kwadrans. Wałkowanie powtarzać trzy razy. Ostatni raz rozwałkowane ciasto kraje się ostrym nożem umaczanym w ciepłej wodzie na kwadraty, zawija w nie kiełbaski obciągnięte ze skórki, lub napełnia farszem z móżdżku i piecze w gorącym piecu. Uważać aby brzegów ciasta nie dotykać, gdyż tylko wtedy będzie się dzielić na listki.

INNE CIASTO DO PASZTECIKÓW. 15 dkg utartego suchszego twarogu, 15 dkg masła i 15 dkg mąki, w razie potrzeby łyżkę śmietany lub wody zagnieść na gładkie ciasto, wywałkować cienko, krajać na małe kwadraty i zawijać w nie kawałki kiełbasek. Piec niezbyt gorąco.

FARSZ DO PASZTECIKÓW Z DROBIU. Resztki drobiu — bez różnicy jaki drób, może być rozmaity — przepuścić przez młynek wraz z paru uduszonemi pieczarkami lub truflami, dodać soku z cytryny, soli i pieprzu oraz 2 żółtka, wlać mały kieliszek madery, wymieszać i nakładać do ciasta pasztetowego lub naleśników, następnie szybko wypiekać, lub o ile w naleśnikach, osmażać na maśle.

MAJONEZ GOTOWANY. 4 żółtka, sok z dużej cytryny (kieliszek wina), 4 łyżki oliwy, szczyptę soli, cukru i białego pieprzu, rozbić dokładnie w garnuszku, następnie włożywszy do drugiego naczynia z gorącą wodą, ubijać na ogniu aż się zacznie podnosić; nie przestawać z ubijaniem aż do zupełnego ostudzenia. Sosem tym zaprawiać można wszelkie sałaty, lub podawać osobno zaprawiwszy musztardą, siekanemi piklami, grzybkami, marynowanemi szalotkami i t. p. Sos ten również jest doskonały wymieszany z łyżeczką kawioru. (W miejsce wina można dać szklaneczkę silnego rosołu.)

MASŁO WĄTRÓBKOWE DO KANAPEK. Wątróbkę z indyka, gęsi lub parę wątróbek kurzych (najmniej 10 dkg), dusić na maśle z cebulką tylko tak długo, aż z ukłutej wątróbki krew nie wypływa. Cebula nie śmie się zrumienić. Następnie zesiekać i przetrzeć przez sito. 5 dkg masła deserowego utrzeć na pianę, zmieszać z masą wątróbkową, posolić i popieprzyć, formować dwoma łyżeczkami małe kulki i układać na talerzyku w stożek.

OSTRE MASŁO ZIOŁOWE. Różne zioła i tak: szczypiorek, estragon, koper, zieloną cebulkę, parę listków szpinaku i szczawiu wypłukać, zemleć i przetrzeć przez sito wraz z dwoma oczyszczonemi sardelami. 5 twardych żółtek rozetrzeć z 10 dkg masła deserowego, dodać zieloną masę ziołową, utrzeć dokładnie razem na gładką masę; masło zastudzone na lodzie formuje się w kulki lub plasterki, kładzie na każdy kawałek kaparka; kaparki mogą być również zmielone z całą masą, nie każdy jednak lubi smak kaparków — mogą również odpaść.

KROKIETKI KRUCHE DO OZDABIANIE PÓŁMISKÓW. 8 dkg tartego parmezanu, 8 dkg mąki, 6 dkg masła i łyżkę śmietany, zagnieść z szczyptą soli na ciasto. Odstawić na godzinę do zimna, jak każde kruche ciasto. następnie rozwałkować na grubość grzbietu noża, wykrawać foremką półksiężyce, posmarować jajkiem, a gdy troszkę podeschną, poznaczyć je nożem umaczanym w papryce w małe półksiężycowe plamki. Piecze się w średnio gorącym piecu. Służą do obkładania półmisków z mięsiwem, obok zieleni, sałatek i innych ozdób.

Sc. Ko.

JAK CZYSTO UTRZYMYWAĆ NACZYNIE



Mycie naczyń jest wielkiem zagadnieniem w domu o licznej rodzinie, ale i przy niewielkiej ilości osób, daje nieustanne zajęcie. W nowoczesnej kuchni, gdzie są zainstalowane elektryczne suszarki kłopot ten odpada. Ale takich urządzeń jest stosunkowo niewiele. Dobra gospodyni dba jednak zawsze, aby naczynie lśniło niepokalaną glazurą, ustawione estetycznie na półkach kredensu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat.	Tydzień 16 — **Kwiecień** — Dni 30
Niedziela **12** Wielkanoc	Rosół królewski z kremikiem. Paszteciki francuskie z kiełbaskami. Indyk nadziewany kasztanami z sałatą majonezową i krokietami. Kompot z konserw. Ciasta. Owoce. <u>Kolacja</u>: Szynka z sosem tatarskim. Torty, ciasta, owoce, sery.
Poniedziałek **13** Poniedziałek W.	Zupa z drobiu. Przystawka z omletów z szynką. Jagnię pieczone z zieloną sałatą i puree ziemniaczanem. Kompot mieszany. Mazurki, owoce, sery. <u>Kolacja</u>: Zimny indyk z kompotem lub ostrą sałatką.
Wtorek **14** Walerjana	Zupa z szynki z ryżem. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Ciepła szynka z sałatą z kiszonej kapusty. Róże Wielkanocne. <u>Kolacja</u>: Jajka na szynce. ☾
Środa **15** Ludwiny	Grochówka na wędzonce. Omlet z szpinakiem. Kalbsteki z jajem w garniturze z jarzyn. Szarlotka z czerstwych ciast z jabłkami. <u>Kolacja</u>: Twarde jaja w śmietanie.
Czwartek **16** Lamberta	Rosół z kury z grysikiem. Rizotto z podróbkami. Kura z rosołu w sosie "fricassé". Budyń orzechowy z bitą śmietaną. <u>Kolacja</u>: Szynka w rolkach napełniana sałatką.
Piątek **17** Rudolfa	Barszcz zabielany z twardemi jajami. Kotlety z ziemniaków w grzybowym sosie. Liny pieczone w serdelowem maśle. Krem szodonowy. <u>Kolacja</u>: Kaszka krakowska z masłem.
Sobota **18** Apolonjusza m.	Zupa jarzynowa. Brukselka z masłem. Pieczeń barania z buraczkami. Dołki z powidełkiem. <u>Kolacja</u>: Jaja faszerowane w pomidorowym sosie z ryżem.



M. M. DUDREWICZOWA

KORONKI TENERYFOWE

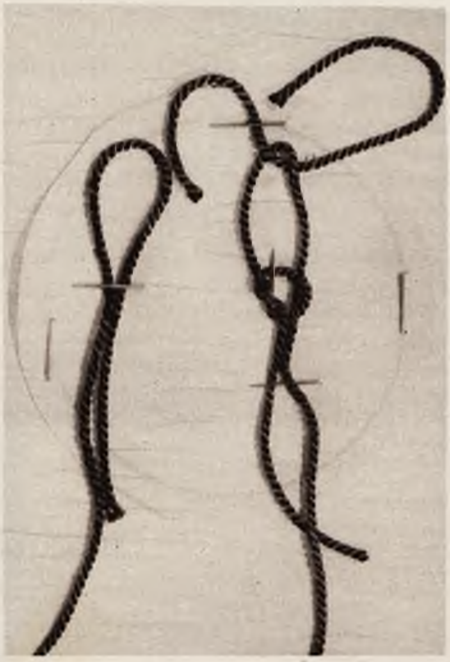


CZĘŚĆ IV.

Węzeł koronkarski.

Sposób zawęźlania nowej nitki ze starą przy szyciu teneryfek jest dosyć zawiły, dlatego przedkładam ilustrację na której pętlice z grubego materjału uzmysławiają tę czynność dokładnie.

Koniec nowej nitki bierzemy do lewej ręki i zarzucamy pętlicę na lewo, trzymając punkt skrzyżowania tych nitek w pierwszych dwóch palcach. Następnie środkiem tej pętlicy wyciągamy dalszy ciąg tej nitki do góry



Kluczka i zawęźlanie węzła z nową nitką.



Delikatna serwetka, wykonana techniką teneryfową.

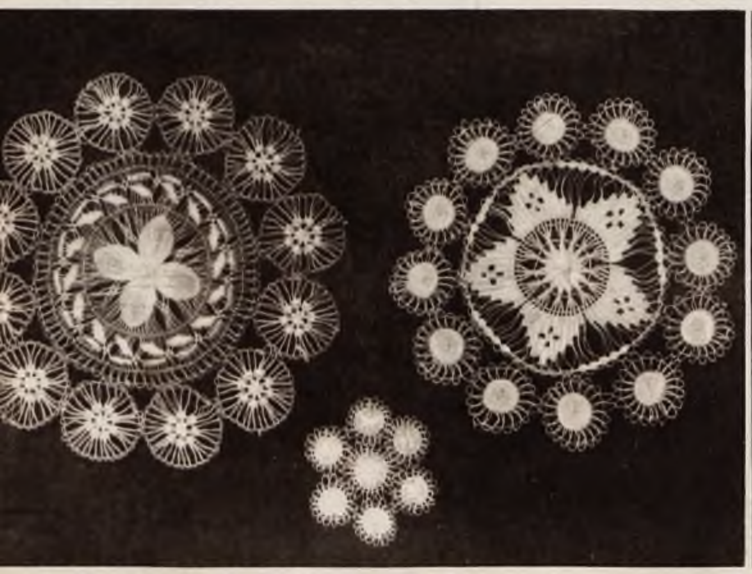
i widzimy, że tworzy się druga pętlica, u dołu której pierwsza pętlica zamienia się w kółko. Na dole zaś tego kółeczka rozchodzą się dwie nitki. Wtedy do górnej pętlicy wkładamy koniec starej nitki z naszej roboty i równocześnie rozciągamy silnie na boki te 2 końce powstałe z pierwszej pętlicy i węzeł zawiązany. Końce ucina się a nową nitką szyjemy dalej. Obydwie te pętlice tworzymy w pierwszych dwóch palcach lewej ręki.

Przy zawęźlaniu nitek charakterystycznem jest pewne strzyknięcie wiążących się nitek.

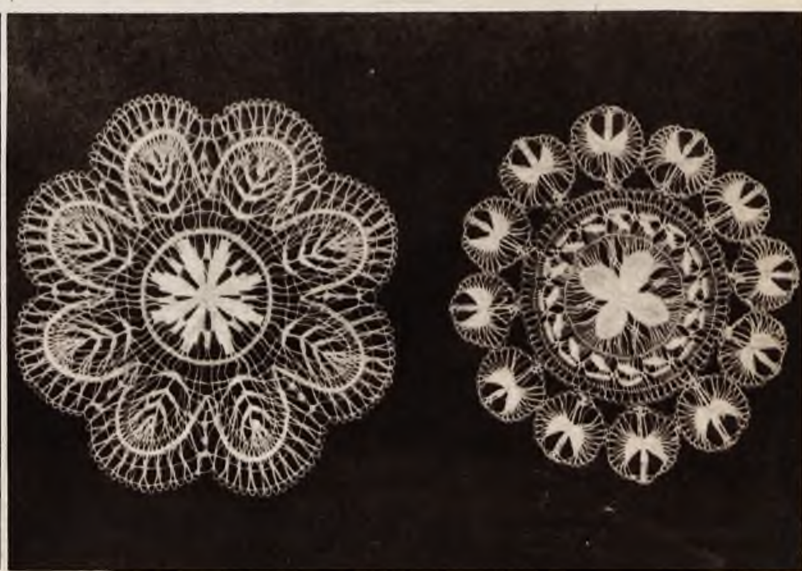
Na zakończenie opisu techniki koronek teneryfowych podaję jeszcze sposób zawęźlania węzła koronkarskiego, który jest dość skomplikowany, ale koniecznem jest umiejętne jego wykonywanie, zwłaszcza przy większych motywach koronkarskich. Przy tej sposobności możemy jeszcze naszym Czytelniczkom zreprodukować szereg pięknych wzorów teneryfowych, które potrafią już zapewne wykonać bez specjalnych objaśnień.



Motyw winogronowy, wyszyty techniką teneryfową.



Serwetki teneryfowe z drobnemi kółeczkami wokoło.



Serwetki o coraz trudniejszej technice wykonania.

PIĘKNE PANIE
w »deshabillé'u«



Pyjama z surowego jedwabiu w wielobarwne pasy.

Fantazyjna pyjama z mocno dekoltowaną bluzą choć z długiemi rękawami.



Gdybyśmy zaczęli szeregować ubiory damskie wedle stopnia ich siły pociagającej, suggestywnego wdzięku o swoistym charakterze oraz sympatji, jaką się cieszą w świecie swych właścicielek — to niewątpliwie stanęłyby na ich czele urocze negliże z poranną narzutką (saut-de-lit) na czele. Wszystko, co może być najpiękniejszem w kobiecym ubiorze, składa się tu na całość bardzo estetyczną, przemiłą w zwiewnych zestawieniach cieniutkich materjałów jedwabnych, koronek, tiulu i gazy. Najwyższy kunszt bieliźniarski wysila swe umiejętności, aby sprostać ponętnemu zadaniu, stworzenia takiego cacka, w którem zabłysnąćby mogła w pełnej krasie uroda kobiety, budzącej się z uśmiechem na różanych usteczkach do nowego dnia wrażeń i spełnianych snów...

Zapewne, dalekie to wszystko od szarzyzny naszego kryzysowego bytowania, ale nie obce wybrankom losu, w rzędzie których w łaskawym losów obrocie, każda z nas znaleźć się jeszcze może. Więc nie unikajmy tego przemiłego tematu i oglądając na filmie dostępne każdemu miraże życia wielkiego świata, umiemy sobie wyobrazić każdego Kopciuszka w roli królewny...

Panie, mogące się poszczycić i dzisiaj wytworną bielizną, uważają szczególnie na dobór jej kolorów. W dobie, gdzie i pościel mieni się nieraz w wielobarwnych tęczach, osobnej sztuki wymaga umiejętne harmonizonawie palety kolorystycznej. Nie może się przecież „kłócić" pościel z tłem ścian lub obiciem mebelków w sypialni, jakoteż z bielizną pani domu. A im bardziej biały kolor przestaje być uniwersalnym, tem większej znajomości w tym kierunku wykazywać musi troskliwa o wszelkie szczegóły rodzinnego „home", współczesna pani domu.

Mewa.

Płaszczyk z crêpe satin, aplikowany motylami, narzucony na saut-de-lit.



DROBIAZGI

Z POKOJU PANA...



„Les petits rien" — takie „małe nic" — mówią o tem Francuzi. Bo właściwie te różne drobiazgi, które tak ożywiają i zdobią pokój, które mogą także stanowić gustowne i szykowne uzupełnienie garderoby męskiej — w gruncie rzeczy są tylko drobiazgami, — aczkolwiek czasami ich „nicość" bynajmniej nie przejawia się w cenie. Zwłaszcza na Zachodzie tego rodzaju drobiazgi są niesłychanie modne i wzięte. Ba, wytworzył się cały przemysł, który bez przerwy rzuca na rynek coraz to inne, bardziej pomysłowe drobnostki. zarówno dla pani — jak i dla pana.

Wspólną ich cechą, to połączenie momentu użytkowego, z charakterem zazwyczaj dekoracyjnym. Skala wynalazczości — jest niemalże nieograniczona. Od ołówka kieszonkowego i pióra wiecznego — poprzez papierośnice i spinki — do różnych pudełeczek, popielniczek, lub kalendarzyków — wszystko to pojawia się w najrozmaitszych odmianach, w oryginalnych ujęciach, przyczem „drobiazgi" te wyrabiane są zarówno z szlachetnych metali, jak ze skóry, lub wreszcie z tak modnej dzisiaj ceramiki.

„Les petits rien" są poprostu zbawieniem dla pań, które przy różnych okazjach muszą lub tylko chcą się jakoś „zrewanżować" swoim znajomym — „małym prezentem".

— Jakiż ja mam kłopot. Muszę coś dla niego kupić, — to ma być coś małego — nie drogiego, a przytem ładnego. Przecież nie można wiecznie paradować z krawatkami lub kolekcją papierosów. Świadczy to o braku indywidualności i wygląda — nawet, jeżeli jest drogie — na prezent od niechcenia. (Nic nie wpadło jej do głowy lepszego — więc niech będzie tradycyjna krawatka...)

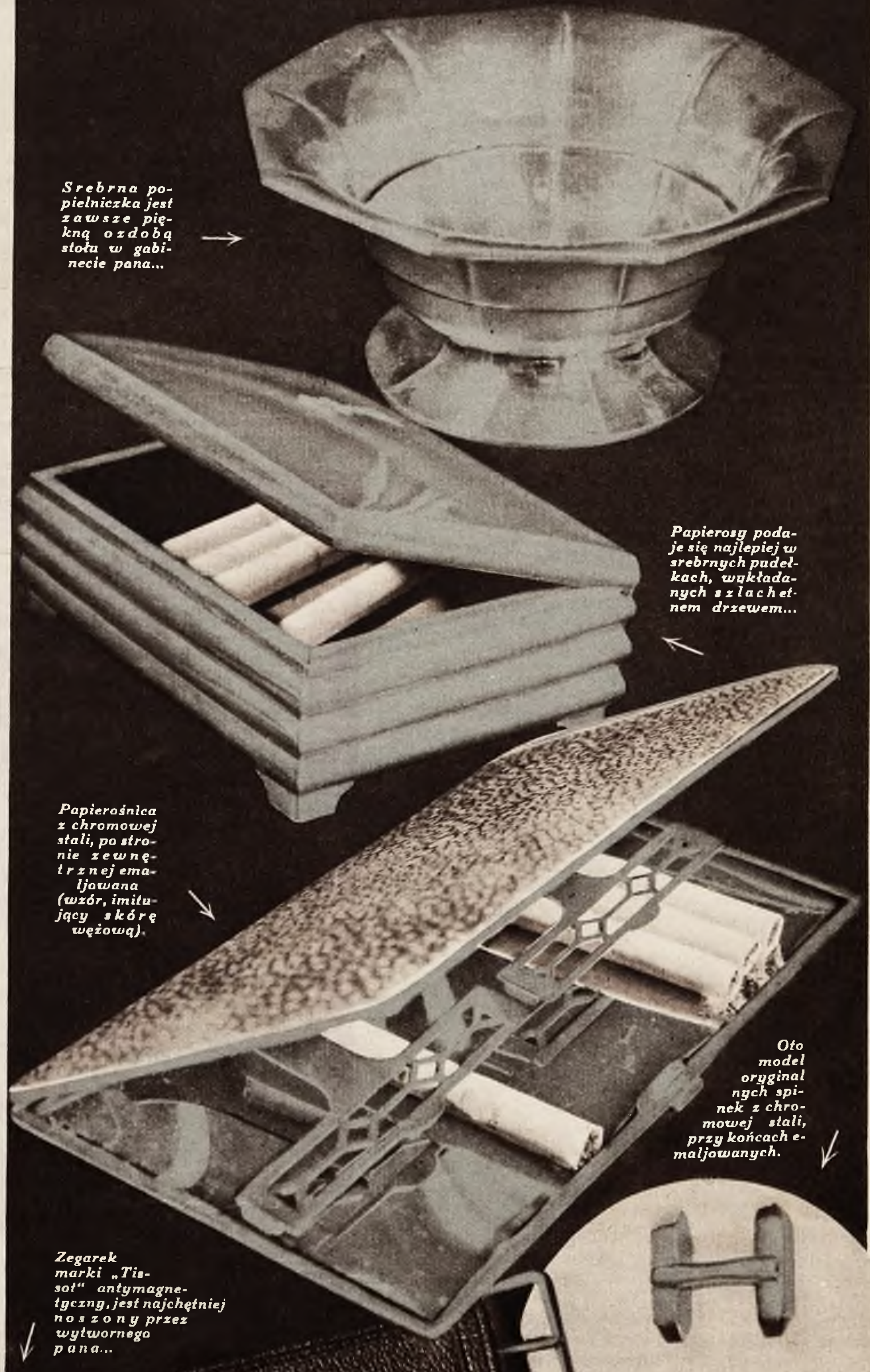
Otóż właśnie nie! nie musi być krawatka! Może być tak samo dobrze naprzykład papierośnica długa i płaska — szczególnie nadająca się do wieczorowego stroju męskiego, przytem efektowna, praktyczna (i rzecz ważna dla „ofiarodawcy": nie zmuszająca do wielkich przekroczeń budżetowych). Również oryginalnemi spinkami każdy pan uzupełni chętnie swą „kolekcję" — a modeli nowych jest coraz więcej w handlu.

Zegarek męski — zwracamy tu uwagę na najnowsze, piękne modele antymagnetyczne marki „Tissot" — również jest podarunkiem niebanalnym, a przytem bardzo praktycznym.

Każdy „drobiazg" — o którym myślimy — musi być dostosowany do upodobań tego, dla kogo jest przeznaczony.

A więc dla pana, który przywiązuje wielką wagę do urządzenia swego gabinetu, możemy wybrać pudełko na papierosy lub popielniczkę ze srebra — będzie to zawsze gustowna ozdoba jego pokoju.

Kilka takich drobiazgów, których ilustracje zamieszczamy obok naszego artykułu — uzmysławia nam rodzaj najnowszych „petits rien", które spewnością sprawią przyjemność każdemu panu... *Brummell*



Srebrna popielniczka jest zawsze piękną ozdobą stołu w gabinecie pana...

Papierosy podaje się najlepiej w srebrnych pudełkach, wykładanych szlachetnem drzewem...

Papierośnica z chromowej stali, po stronie zewnętrznej emaljowana (wzór, imitujący skórę wężową).

Oto model oryginalnych spinek z chromowej stali, przy końcach emaljowanych.

Zegarek marki „Tissot" antymagnetyczny, jest najchętniej noszony przez wytwornego pana...



(Dokończenie ze str. 30-tej).

Zapoznając Czytelników z nazwiskami najsłynniejszych dziś śpiewaków świata, którzy na giełdach artystycznych uzyskali najwyższe notowania wymienimy na pierwszem miejscu naszego rodaka Jana Kiepurę. Karjera tego artysty, który, jak wielu innych, zapoznany w kraju, dopiero poza jego granicami sięgnął po laury, została zapoczątkowana występami w teatrach berlińskich i wiedeńskich. Studja, odbyte częściowo jeszcze w kraju, potem we Włoszech, krystalizują wielki kunszt śpiewaczy Kiepury, który zaczyna olśniewać europejskich słuchaczy. Popularność zdobywa nasz mistrz przez filmy dźwiękowe i estradowe występy, przemieniające się niemal zawsze w żywiołowe manifestacje publiczności. Wyjazd do Stanów Zjednoczonych przynosi nowe sukcesy w operze w Chicago, a ostatnio w stolicy X Muzy, Hollywood, gdzie powstał obraz „Pieśń miłości" z udziałem śpiewaczki Metropolitan, Gladys Swarthout.

Urodzony w Montagnana w r. 1885 Włoch Giovanni Martinelli, studjuje w Medjolanie. Stosunkowo wcześnie rozpoczyna estradowe występy i na jednym z nich zwraca na siebie uwagę Pucciniego, który powierza mu główną partję w swej operze „Dziewczę z Dalekiego Zachodu" na prapremjerze w Rzymie. Sukces, jaki stał się wówczas udziałem młodego śpiewaka, otwiera mu podwoje wszystkich europejskich oper i sal koncertowych. W r. 1912 debiutuje Martinelli w londyńskim „Covent Garden" w „Klejnotach Madonny", a w rok potem uzyskuje zaszczytne engagement do Metropolitan, gdzie po dziś dzień występuje jako pierwszy tenor. Mieszkańcy rodzinnego miasta śpiewaka, Montagnana, nazwali miejscową operę jego imieniem, a król włoski nadał mu dwukrotnie wysokie odznaczenia.

Ryszard Tauber, szumnie reklamowany przez rodaków jako niemiecki Caruso, uczył się śpiewu przez niespełna dwa lata, poczem zaraz wystąpił w operze w Chemnitz. Świeży materjał głosowy o rozległej skali, stosunkowo rzadko spotykany u Niemców, odrazu zwrócił na Taubera uwagę sfer operowych Drezna i Berlina, gdzie też występuje z wielkiem powodzeniem przez zgórą pięć lat. Angażuje go też chętnie wiedeńska opera. Ale dopiero niezwykły jak na śpiewaka operowego eksperyment winduje Taubera na szczyt tablicy giełdowej. Oto z partji Tamina w mozartowskim „Zaczarowanym flecie" przerzuca się on bez wyraźnej przyczyny do roli mandaryna w operetce Lehara „Kraina uśmiechu" i odrazu zdobywa szalone powodzenie, tembardziej charakterystyczne, że uzyskane na terenie Londynu (1931). Filmy dźwiękowe są dalszym etapem karjery tego śpiewaka, którego obecne honorarja miesięczne obliczają pesymiści na ładną sumkę 8000 funtów szterlingów.

Lawrence Tibbett, pierwszy baryton „Metropolitan" i gwiazdor filmowy, jest słusznie uważany za chlubę Stanów Zjednoczonych. Urodzony w Kalifornji w r. 1896, rozpoczął swą karjerę jako aktor w wędrownej trupie szekspirowskiej. Debiutuje jako śpiewak w r. 1923 w letniem stagione operowem w Hollywood, w „Aidzie" i dzięki wyjątkowemu pięknu i metalicznej barwie swego głosu, przyrównywanej do brzmienia wiolonczeli Pablo Casalsa, zostaje z miejsca zaangażowany do Metropolitan. Czerpie też kolosalne dochody z oper, sal koncertowych i filmu. W czasie wojny światowej służył jako oficer w marynarce Stanów Zjednoczonych.

Jeszcze tylko dwóch śpiewaków włoskich notują giełdy artystyczne po najwyższym kursie. Są nimi Beniamino Gigli i Tito Schipa. Pierwszy, urodzony w Recanati w r. 1890, zdobywa ostrogi w medjolańskiej „La Scali". Potem przez długie lata śpiewa w Metropolitan. W r. 1931 zrywa jednak kontrakt z tą operą i koncertuje na całym świecie z olbrzymiem powodzeniem. Miarą dochodów tego śpiewaka jest fakt, że wybudował on sobie w rodzinnem Recanati pałac, cały z marmuru kararyjskiego za sumę pół miljona dolarów. Tito Schipa, urodzony w Lecce w r. 1889, uważany był przez swego profesora, słynnego mistrza bel canta Gerundę, za wyjątkowo uzdolnionego. Debjutował we Włoszech w partji Alfreda w „Traviacie". Od szeregu lat jest pierwszym tenorem opery w Chicago, dosłownie uwielbiany jako świetny śpiewak przez obie Ameryki. I on wybudował sobie wspaniały pałac w Beverly Hills (Kalifornja), gdzie wypoczywa po trudach pracowitego sezonu.

Ostatnim na naszej liście, ale stanowczo niemniej sławnym od wymienionych, jest John Mc. Cormack, urodzony w r. 1884 w Athlone w Irlandji. Debiutuje na konkursie śpiewaków operowych w 1903 w Dublinie i z pośród grona 23 kandydatów zdobywa złoty medal. Występuje w całej Anglji, a po kilku latach debiutuje we Włoszech w operze Mascagniego „Amico Fritz". Dopiero jednak pamiętny występ w „Metropolitan" w r. 1909, podczas którego Cormack śpiewał w „Traviacie" razem ze słynną Tetrazzini (głośna swego czasu Violetta), przyniósł artyście stałe engagement na amerykańskim kontynencie. Po kilkunastu latach porzuca operę i występuje tylko na estradzie. Jako Irlandczyk cieszy się wielkiem powodzeniem przedewszystkiem w sferach katolickich.

Na nazwisku Mc. Cormacka zamykamy listę najsłynniejszych dziś śpiewaczek i śpiewaków świata. Nie znaczy to jednak, że poza nimi nie istnieje już żadna inna gwiazda sztuki wokalnej, która z racji dawnych sukcesów na miano mistrzowskie nie zasługuje. Chodziło nam bowiem o zapoznanie Czytelników przedewszystkiem z temi artystkami i artystami, którzy na giełdach świata uzyskali najwyższe notowania, czyli należą do grona uprzywiljowanych, najlepiej wynagradzanych gwiazd.

Musimy sobie uprzytomnić zmienność karjery śpiewaka, często uzależnionej od jego chwilowej dyspozycji fizycznej i psychicznej. Jeden słabszy występ pociąga za sobą daleko idące konsekwencje, chyba, że zaufanie managerów — sejsmografów giełd artystycznych — ani na chwilę się nie zmniejszyło.

Życie artysty pełne jest niebezpieczeństw i niespodzianek...

Juljusz Leo.



Rozwiązania z N-ru 14-go.

WALKI W CYRKU.

Arleta walczył ogółem 14 razy, wygrywając 9 spotkań.

TRZECH ROBOTNIKÓW.

Antek pracowałby 14 34/19 dni, Bolek 17 23/41, Czesiek 23 7/31 dni.

AUTO I OPONY.

Auto kupił rok temu, opony 3/4 roku temu.

SPRZEDAŻ DROBIU.

Kurczę kosztowało 2 zł., kaczka 4 zł., gęś 5 zł.

KWADRATOWA RODZINA.

Dzieci miały kolejno 2, 5, 8, 11, 14, 17, 20, 23, 26, a ojciec 48 lat.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

NA WYŚCIGACH.

Pan Dowcipniś, będąc ze swymi przyjaciółmi na wyścigach konnych, zapytał w przerwie między jednym biegiem a drugim, czy możliwe jest zorganizowanie wyścigu dwóch koni w ten sposób, aby nagrodę otrzymał koń, który później przyjdzie do mety?

Wszyscy twierdzili, że taki wyścig jest niewykonalny, gdyż obaj jeźdźcy mogą stać w miejscu, a nawet cofać się, i bieg nigdy się nie odbędzie. Co na to powiedzą nasi Czytelnicy?

CYFRY, CYFRY.

Proponujemy Czytelnikom znalezienie najmniejszej liczby, złożonej tylko z cyfr 3 i 7, podzielnej przez 3 i 7, a także dającej sumę swych cyfr podzielną przez 3 i 7 bez reszty. — Np. 7733733 jest podzielne bez reszty przez 3 i 7, ale suma cyfr wynosi 33 — podzielne przez 3 ale niepodzielne przez 7, czyli że podana przez nas liczba nie może być rozwiązaniem.

DODAWANIE I MNOŻENIE.

Jeśli pomnożymy lub dodamy 9 i 9, otrzymamy 81 lub 18, składające się z tych samych cyfr. Jeśli pomnożymy lub dodamy 2 i 47, otrzymamy 94 lub 49 — te same cyfry. Jeśli pomnożymy lub dodamy 3 i 24, otrzymamy znów te same cyfry — 72 lub 27. Proponujemy Czytelnikom znaleźć jedyne dwa wypadki, w których dwie liczby pomnożone lub dodane dają *trzy* te same cyfry.

TAJEMNICA ZEGARA.

Ile jest minut do szóstej, jeśli pięćdziesiąt minut temu było cztery razy więcej minut po trzeciej?

KOLOROWE JAJKA.

Dziadek przygotował dla swych trzech wnuczek na wielkanocny upominek dwadzieścia cztery kolorowych jajek. Do ośmiu niebieskich jajek dziadek włożył po pięć złotych ,do ośmiu czerwonych po trzy złote i do ośmiu żółtych po złotówce. Każda wnuczka znalazła na swym stole w pierwszy dzień świąt trójbarwny garnitur ośmiu jaj. Po otworzeniu ich okazało się również, że każda dostała tyle samo pieniędzy. Jak dziadek podzielił jajka?

DORADCY MILJONERA.

Mr. Bandervildt, znany miljoner, poszukiwał finansowego doradcy. Najpoważniejszymi kandydatami byli Och i Koch. Mr. Bandervildt zadał im następujące pytanie:

— Czy wolałby pan mieć 10.000 dolarów rocznie z podwyżką 2.000 dolarów za każdy rok, czy też 5.000 dolarów półrocznie z podwyżką 500 dolarów co pół roku?

— Wolę pierwsze warunki — odpowiedział Och.

— Wolę drugie warunki — odpowiedział Koch.

Którego zaangażował mr. Bandervildt i dlaczego?

HUMOR ZAGRANICZNY

„ENFANT TERRIBLE" RODZINY KANGURÓW.



— Jak jeszcze raz tak późno wrócisz do domu, to zamknę poprostu torbę!...

(Lustige Blätter)

NOWA SEKRETARKA.



Dyrektor: — No dobrze! Rozpoczniemy natychmiast próbę!

Sekretarka: — Dobrze, panie dyrektorze, ale możeby zamknąć drzwi na klucz!

(Rire).

WGŁĄB PUSTYNI.

Dziewięciu podróżników wyrusza dziewięcioma samochodami wgłąb pustyni, postanawiając jechać wciąż na Zachód. Zawartość tanku benzynowego wystarcza na przebycie 10 mil. W tanku mieści się 1 galon benzyny, a oprócz tego każdy z nich może zabrać na auto jeszcze dziewięć baków, zawierających po jednym galonie. Baki można przenosić z wozu na wóz. Na ile mil wgłąb pustyni może się zapuścić ekspedycja i wrócić, nie robiąc dodatkowych zapasów paliwa na drogę powrotną. Do najdalszego punktu może dojechać chociażby jeden wóz, chodzi jednak o takie gospodarowanie paliwem, by wóz ten dotarł możliwie najdalej.

ARYTMETYKA.

Jaka jest najmniejsza liczba, która podzielona przez 6 daje resztę 2 i podzielona przez 13 daje resztę 3?

DOBRY KAWAŁ.

Pan Wesołek, znalazłszy w jakiemś czasopiśmie świetny kawał polityczny (którego nie możemy, niestety, przytoczyć ze względów cenzuralnych), opowiedział go swym dwom najlepszym przyjaciołom, panu Dowcipnisiowi i panu Żartownisiowi. Następnego dnia każdy z trzech panów opowiedział go dwom dalszym osobom. To samo stało się trzeciego dnia, w którym każda z dziewięciu już osób opowiedziała kawał dwom dalszym i to samo działo się każdego następnego dnia. Przy tym sposobie rozprzestrzeniania dowcipu, ile osób będzie go znało po upływie dziesięciu dni?

ŻART TYMFA WART!

POCO OSZCZĘDZAĆ?

Srul prowadzi ożywioną, dosyć gwałtowną dyskusję ze swoim znajomym, Kohnem. Wkońcu Kohn wyprowadzony z równowagi, krzyczy:

— Panie! Licz się pan ze słowami!

— Co ja mam liczyć? Czy ja piszę telegram? — zapytuje spokojnie Srul.

MAŁY NIEDOWIAREK.

Mama kupiła większą ilość różnych łakoci dla swego małego Jasia i Jadzi. Jedną połowę przeznaczyła dla chłopczyka, drugą dla dziewczynki. Gdy jednak powróciła do domu okazało się, że wszystkie słodycze zjadł Jaś. Mama oburzona tym postępkiem czyni mu gorzkie wyrzuty.

— Ależ Jasiu, jak mogłeś zjeść te cukierki, były przecież przeznaczone dla Jadzi!

— E, mamusiu, ja zasadniczo nie wierzę w przeznaczenie!

MATEMATYKA.

Ośmioletni Januszek bawi się ze swoją siostrzyczką Kazią w piasku. Przy tej sposobności robią ciekawe obserwacje na temat swoich rączek.

— Ja mam pięć paluszków u ręki, — stwierdza z dumą Kazia. A ty ile masz?

— E, ja mam ich pełno na rękach! — odpowiada Januszek.



Na scenie

W Instytucie Reduty w Warszawie w podziemiach Ubezpieczalni Juljusz Osterwa, po długich przygotowaniach, wystawił białą tragedję Cyprjana Norwida „**Pierścień wielkiej damy**". Jest to pierwszy wogóle utwór Norwida na scenach Warszawy.

Przedstawienie to powinno wywołać dużą dyskusję i być punktem wyjścia do rozważań nad teatrem Norwida. Niejednokrotnie głośno niektórzy krytycy domagają się, że Norwida jak najczęściej powinno się grywać u nas w teatrze, inni znów nie widzą w jego dziełach nic szczególnego, a publiczność albo stroni od Norwida, albo idzie na przedstawienia więcej dla artystycznej sensacji, niż dla wielkiej poezji twórcy „Krakusa i Wandy".

„Pierścieniem wielkiej damy" zamierzał Norwid stworzyć nowy rodzaj sceniczny i dlatego nazwał tę sztukę „białą tragedją", ponieważ dramat serc obchodzi się bez rozlewu krwi. Ten rodzaj utworu dramatycznego nazywa też Norwid „wysoką komedją", przeciwstawiając ją komedjom „buffo", których mistrzem uznaje Fredrę. Utwór Norwida poświęcony jest kobiecie, gdyż jego zdaniem dotąd nie było w literaturze polskiej „kobiet istotnych i całych". Norwid zapomniał o Słowackim.

Boy-Żeleński, charakteryzując przedstawienie stwierdza, że „Pierścień wielkiej damy" na tle epoki był klejnotem wysokiej ceny. I pozostał nim. Norwid stworzył tutaj rzeczywiście nowy rodzaj; połączenie liryzmu z ironją, śmiałe użycie dysonansów, oszczędność wyrazu przy bogactwie odcieni.

Osterwa wystawił dzieło Norwida z niezwykłą starannością. Grą swą czarował publiczność, podobnie jak Marja Brydzińska-Potocka, która powróciła na scenę. Doskonale grają Wołłejko, Wilamowski, Parysiewiczówna i Rowicka. Krytycy mają tylko zastrzeżenia co do sposobu mówienia białego wiersza przez aktorów.

(swb).



To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI

Ewa Szelburg-Zarembina, to ciekawie i mocno zarysowana indywidualność twórcza. W powieściach swych śmiało Szelburg-Zarembina odkrywa tajniki duszy kobiecej i może ze wszystkich współczesnych pisarzy daje najgłębsze studjum psychiki kobiecej. Utworom swym daje niemal zawsze tło społeczne, zwłaszcza ma dużo współczucia dla ludzkiej nędzy i krzywdy. Powieści jej mają wiele świetnych spostrzeżeń, podanych w wysoce artystycznej i bardzo charakterystycznej dla autorki formie.

Duży i zasłużony rozgłos zdobyła Szelburg-Zarembina w roku ubiegłym powieścią „Wędrówka Joanny", stanowiącą pierwszy tom z cyklu powieściowego „Matka Judasza". Powieść tę ocenili niemal wszyscy krytycy jako dzieło nietylko wielkiego talentu, ale i dojrzałego artyzmu. Powieść to — jak słusznie zauważono — napół obyczajowa, a napół fantastyczna, gdyż akcja jej rozgrywa się niemal na pograniczu marzeń sennych i realistycznej jawy.

O powieści tej, będącej niezwykle wartościowem i wnikliwem studjum uczuć i przeżyć psychicznych kobiety, pisze Czachowski, że „powieści tak wyłącznie ogarniętej i dogłębnie nasyconej mistycznym żarem ekstazy miłosnej, drugiej niema w naszej literaturze kobiecej. Nawet u Zapolskiej. I niema tu wcale jakiejś perwersji, lecz właśnie najzupełniej naturalny, tylko jakby metafizycznie rozżarzony żywioł tragicznej miłości, tej wielkiej miłości, poza którą niema świata".

Ukazał się właśnie drugi tom „Matki Judasza" — „**Ludzie z wosku**" (nakładem **Gebethnera i Wolffa**), który rozwija i pogłębia motywy i zagadnienia poruszone w „Wędrówce Joanny", Joanna w „Wędrówce" zastanawiała się nad uczuciem miłości. Słyszała najpierw rady: „Nie kochaj nigdy nikogo. Nie warto". Ale później przyszła do przekonania, że „warto jest kochać, że tylko to warto". Tu, w „Ludziach z wosku", szepce do męża: „Ludzie, mówiłeś zawsze: są dobrzy. Nieszczęśliwi, ale dobrzy. Głupi — ale dobrzy. Źli w postępkach — ale w sercach swoich — dobrzy. Serce każdego — mówiłeś — jest jak wosk. Twarde, ale da się rozgrzać. I ja, głupia, pragnęłam tobie wierzyć. Robiłam wszystko, żeby tobie uwierzyć. Słyszysz? Wspominałam moje dzieciństwo i mówiłam — nie było. Wspominałam moją najpierwszą miłość — mówiłam — nie była. Bo jakże mogły być, jeśli były złe? Ale już teraz znowu są. I zostaną. Już samej sobie nie będę kłamała...".

Akcja „Ludzi z wosku" rzucona jest na tło przemian społecznych i rewolucji 1905 roku. Joanna mówi do swego dziecka: „Bo to nieprawda, że oni teraz zmienią świat. Nie zrobią tego ani ci... ani ci... Nie tak samo łatwo jest rozdawać sprawiedliwość, jak krzywdę..."

Trudno, na podstawie tych dwóch tylko tomów, charakteryzować pełnię dojrzałości ideowej i artystycznej autorki, zwłaszcza, że sama w posłowiu wspomina: „Takich ich widziałam. Ludzi z wosku, w mem dzieciństwie. Zaledwie muśnięci tu gorącem tchnieniem wolności, będą od tej chwili zmieniali swe oblicze, aż przetopią się w **ogniu**". Mamy więc zapowiedź dalszego ciągu.

Ale i ten tom jest zamkniętą dla siebie całością, którą warto przeczytać i to nie jeden raz.

(swb).

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 12 kwietnia.

10.05: Transmisja nabożeństwa z Poznania.
12.03: „Winszowanie radjosłuchaczom" — pogawędka w eterze.
12.20: „Staropolski przekładaniec" — Wielkancona audycja.
13.05: „1000 taktów muzyki".
14.00: Muzyka lekka.
15.00: „Wesoły dzień w zagrodzie" — słuchowisko wiejskie.
15.30: Polska muzyka ludowa.
16.15: „Wielkanoc" — opowiadanie dla dzieci.
16.30: Muzyka taneczna.
17.30: „Mieszanka dla kanarków" — wesoła audycja muzycz.
18.00: „Pół godziny z Wiednia".
18.30: „Święcone u J. O. Księcia Radziwiłła Sierotki".
19.10: Muzyka salonowa i lekka.
21.15: „Na wesołej lwowskiej fali".
22.00: „Kiedy kwitną fijołki" — koncert.

Poniedziałek, 13 kwietnia.

10.00: Utwory Camil'a Saint-Saëns'a.
10.30: Nabożeństwo z Kościoła Św. Krzyża w Warszawie.
12.15: „Przy świątecznym stole" wesoły poranek muzyczny.
13.55: „Śmigus w Benjaminowie", Felicjana Sławoj-Składkowskiego.
14.17: Muzyka salonowa.
15.25: Muzyka.
16.00: Recital fortepianowy Haliny Kalmanowiczówny.
16.30: „Jak to dawniej bywało", słuchowisko dla dzieci.
17.00: Muzyka taneczna.
18.00: „Siuda-baba" — słuchowisko regjonalne.
19.10: Zespół salonowy Pawła Rynasa.
20.15: Recital śpiewaczy Ewy Bandrowskiej-Turskiej.
21.00: „Czy stateczny, czy nygus, uśmiecha się na śmigus" — dyngusowe wiadro melodyj.
22.15: „Dyngus obrzędowy" — audycja muzyczna.
22.30: Muzyka taneczna.

Wtorek, 14 kwietnia.

12.15: Muzyka.
15.30: Muzyka lekka.
16.25: Recital śpiewaczy Stanisława Znicza.
17.15: Koncert muzyki duńskiej.
18.10: Arje i pieśni Mozarta w wyk. Cecylji Węgrzynowskiej.
18.30: „Czy istnieje szary człowiek" — szkic literacki.
20.00: „Likwidacja żartoteki" (ostateczne rozwiązanie konkursu na najlepszy żart).
22.30: Muzyka taneczna.
22.45: „Huculszczyzna" — odczyt.
23.05: Muzyka taneczna.

Środa, 15 kwietnia.

12.30: „Walce Waldteufla" w wyk. Orkiestry 58 p. p.
15.30: Muzyka salonowa.
16.00: „Rozmowa Majsterklepki z Lepigliną".
16.26: „Z Ogrójcem" — audycja folklorystyczna.
17.00: „Dyskutujmy": „Czy koniecznie, musimy utrudniać sobie życie".
18.00: Wolfgang Amadeusz Mozart: Kwartet smyczkowy C-Dur.
20.00: Muzyka salonowa.
21.00: XXXII Audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina".
22.05: „Sygnały myśliwskie".
22.20: Muzyka taneczna.

Czwartek, 16 kwietnia.

13.00: Fragmenty z opery „Jaś i Małgosia".
15.30: Koncert Klubu Mandolinistów pod dyr. Szymborskiego.
16.00: „Gorzkie migdały" — opowiadanie dla dzieci.
16.15: Koncert Orkiestry Kameralnej Adama Hermana.
17.05: „Mieszczaństwo warszawskie" — odczyt.
18.40: „Jak spędzić święto?"
20.00: „Gdyśmy byli studentami" — audycja muzyczna.
21.00: Premjera słuchowiska oryginalnego p. t. „Narodziny bohatera".
21.35: III audycja z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz".
22.00: Recital skrzypcowy Ignacego Weissenberga.
22.30: Muzyka lekka.

Piątek, 17 kwietnia.

12.40: Koncert zespołu Haliny Adamskiej.
15.30: „Pół godziny w Wiedniu".
16.00: Pogadanka dla chorych.
16.15: Koncert Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego.
16.45: „Szop-pracz, mój syn i ja" — opowiadanie dla dzieci.
17.00: „Lasy polskie" — odczyt.
17.20: Recital fortepianowy. Wykonawca Paul Suberts.
18.00: Muzyka taneczna. W programie utwory Juljusza Leo w wykonaniu kompozytora (fortepian).
20.00: „Zaporożec za Dunajem" — ukraińska opera komiczna.
21.30: Koncert poświęcony twórczości Emila Młynarskiego.
22.50: Muzyka taneczna z kawiarni „Café-Club".

Sobota, 18 kwietnia.

12.25: Muzyka.
14.30: Trio salonowe Polskiego Radja.
15.00: „Wielkanocne wspomnienia sybirskiego zesłańca".
15.30: Muzyka baletowa.
16.15: „Trzy małe świnki" — radjo-film dla dzieci.
17.00: „Kiliński" — odczyt.
17.15: Nowości z płyt.
19.45: Przemówienie Naczelnego Dyrektora R. Starzyńskiego z okazji 10-lecia Polskiego Radja.
20.00: „Mozajka muzyczna".
23.05: Muzyka taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.